

Carole Mortimer

Idol z telewizji

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Och! - krzyknęła na widok cienia, który wychynął z mroku, gdy tylko wyszła na skąpany w świetle księżyca taras. I chociaż prawie natychmiast rozpoznała człowieka, który ją wystraszył, serce jeszcze przez dłuższy czas nie zwolniło rytmu. Przystanął ledwie pół metra od niej i patrzył jak kot błyszczącymi, szarymi oczami.

- Chyba honorowy gość powinien raczej korzystać w salonie z uroków przyjęcia niż...

- ...z ciszy i spokoju z dala od zgiełku - dokończył za nią Beau Garrett szorstkim tonem.

Jego rozmówczyni, zmęczona pustą paplaniną, sama próbowała niepostrzeżenie opuścić dom Madelaine Wilder. Niespodziewane spotkanie bynajmniej jej nie odpowiadało.

- Wszyscy na pana czekają - wytknęła z wyrzutem.

- Czyżby? Nawet mój strój nie pasuje do roli gwiazdy wieczoru - odburknął znudzonym tonem.

Rzeczywiście nosił najzwyczajniejszy sweter i spodnie. Przydługie włosy błyszczały w blasku księżyca. Twarz pozostawała w cieniu.

- „Proszę wpaść wieczorem, zaprosiłam paru przyjaciół na drinka” - przedrzeźniał z talentem wysoki głos gospodyni. Następnie skinął z niechęcią w kierunku okna. - No i wpadłem. Zaprosiła co najmniej pół wsi.

Wyszła z cienia i przystanęła obok niego przy balustradzie. Z salonu dochodziły śmiechy, brzęk szkła i gwar rozmów. Przez chwilę patrzyli razem na ogród. Panujące wokół ciemności pomogły jej przełamać nieśmiałość wobec znakomitego dziennikarza o zapierającej dech w piersiach powierzchowności. Od dziesięciu lat przeprowadzał wywiady ze znanymi osobistościami, zaliczane do najpopularniejszych programów telewizyjnych. Teraz, z nachmurzoną miną i w

niedbałym stroju, w niczym nie przypominał idola widzów.

- Przykro mi wypominać, ale to już trzecia impreza na pana powitanie w Aberton. Zignorował pan dwa poprzednie zaproszenia Madelaine.

- To również przyjąłem bez entuzjazmu, tylko dlatego, żeby nie uchybić zasadom dobrego wychowania - mruknął.

Prawdę mówiąc, wytwornymi manierami bynajmniej się nie odznaczał. Wręcz przeciwnie. Beau Garrett zaskakiwał rozmówców śmiałymi pytaniami i kontrowersyjnymi uwagami. Właśnie jego zadziorny sposób bycia przyciągał publiczność przed odbiorniki. Ponieważ nigdy nie wiadomo było, jakie niespodzianki zgotuje gościom, jego audycja zachowała urok świeżości przez wiele lat, a element niepewności wciąż na nowo budził zaciekawienie.

- Biedna Madelaine - westchnęła ze współczuciem.

Sama oceniała gospodynię jako osobę wprawdzie nieco egzaltowaną, ale za to o wielkim sercu.

Beau Garrett zbył ostatnią uwagę lekceważącym prychnięciem.

- Właściwie przyszedłem tylko po to, żeby uzyskać od miejscowych konkretną informację. Pani także stąd pochodzi. Zadam więc to samo

pytanie, którym przez cały wieczór zamęczałem wszystkich obecnych: kto mógłby urządzić dla mnie ogród przy Starej Plebanii? Obecnie przedstawia obraz nędzy i rozpacz.

- Co pan do tej pory usłyszał?

- „Jaz Logan” - odrzekł nieswoim głosem - „Okropne dziwadło, ale też wielki talent”.

- To major.

- „Tylko Jaz! Zastanie kompletny chaos, a zostawi po sobie wzorowy porządek” - tym razem naśladował damski głos.

- Barbara Scott z naszego sklepiku - odgadła.

- „Nieoceniony skarb”.

- Betty Booth, żona pastora.

- „Tylko Jaz Logan, nasze słoneczko kochane” - przedrzeźniał teraz gospodynię z wyraźnym niesmakiem.

- Jakaż ta Madelaine milutka - zachichotała jego rozmówczyń, szczerze ubawiona.

- Chwileczkę, to jeszcze nie wszystko: „Dokonuje prawdziwych cudów. Mój maleńki ogródeczek wygląda teraz jak z bajki”.

- Jeżeli wszyscy mówią to samo, nie widzę powodu do jakichkolwiek rozterek - odrzekła, krztusząc się ze śmiechu. Rzeczywiście parodiował nowo poznanych z wielkim talentem. Tylko słodka Madelaine mogła nazwać półtorahektarową posiadłość „maleńkim ogródeczkiem”.

- Rzecz w tym, że ten cały Jaz Logan sprawia wrażenie jakiegoś straszliwie zniewieściałego gościa. Absolutnie nie życzę sobie słodkich rabatów z różowymi kwiatuśkami. Obraz furtki obramowanej różyczkami też jakoś nie przemawia do mojej wyobraźni - oznajmił z przekąsem.

- Skoro tak pana mierzi tradycyjny styl wiejskiej posiadłości, czemu w ogóle chce pan tu zamieszkać?

- To chyba oczywiste. - Zwrócił twarz ku światłu księżyca. Od brwi aż do zuchwy biegła czerwona szrama - ślad po wypadku, w którym o mało nie zginął przed czterema miesiącami.

Na myśl o tym, ile wycierpiał, ogarnęło ją współczucie. Gorzka ironia w głosie dziennikarza wskazywała na to, że jego dusza została zraniona jeszcze dotkliwiej niż ciało. Starła się jednak nie okazać emocji.

- Wszystkie blizny z czasem bledną - próbowała go uspokoić.

- Tak też mi powiedziano - uciał.

Bez trudu odgadła powód rozgoryczenia. Zawód Beau Garretta nie pozwalał na długą rekonwalescencję ani skazy w wyglądzie.

- Mieszkał pan kiedyś na wsi? - zmieniła temat.

- Nie. - Obrzucił ją czujnym spojrzeniem.

- Tak też myślałam. Zamieszkuje tu dosyć wścibska społeczność. Jeśli poszukiwał pan ciszy i spokoju, czeka pana rozczarowanie.

Beau Garrett niemal odskoczył z powrotem w cień.

- Nie zamierzam zaspokajać niczyjej ciekawości - rzucił gniewnie.

- Życzę powodzenia, ale nie wróżę sukcesu. Czego ludzie nie usłyszą, sami sobie dopowiedzą - ostrzegła, nauczona doświadczeniem.

- Dobrej zabawy - prychnął, skrajnie rozdrażniony, podchodząc do drzwi wejściowych.

- Och, z pewnością już samo pana przybycie dostarczyło plotkarzom niezłej rozrywki.

Honorowy gość bez słowa komentarza otworzył drzwi. Bez wątpienia wszedł do znienawidzonego salonu tylko po to, żeby pożegnać się z gospodynią pod jakimkolwiek pretekstem. Jeżeli wyobrażał sobie, że nigdy więcej nie zobaczy kobiety, z którą przed chwilą rozmawiał, bardzo się mylił.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Beau Garrett wszedł do zagraconego salonu, służącego za biuro małego przedsiębiorstwa ogrodniczego z samego rana w poniedziałek. Młoda kobieta podniosła wzrok znad sterty niezapłaconych rachunków które właśnie przeglądała. Nic innego nie miała do roboty. Prawdę mówiąc, oczekiwała go.

- Czemu nie powiedziała mi pani w piątek, że pracuje dla Jaza Logana?! - wykrzyknął z oburzeniem na powitanie.

- Bo pan nie pytał. - Wzruszyła ramionami.

- Ależ to czysta manipulacja! - Wykrzywił twarz z irytacją. - Uwierzyłem, że poleca mi pani tego człowieka z przekonania, a nie dla korzyści.

- W ten sposób otrzymał pan kolejną lekcję życia w wiejskiej społeczności. - Uśmiechnęła się, bynajmniej niespieszona. - Każdy chętnie wtyka nos w cudze sprawy, ale sami strzeżemy naszej prywatności jak oka w głowie. Sprawy wyglądają znacznie gorzej, niż pan przypuszcza: nie pracuję dla Logana. To ja jestem Jaz Logan. – Wytarła uwalaną ziemią rękę o drelichowe spodnie i wyciągnęła ją na przywitanie.

Beau Garrett nie podał jej ręki, tylko zmierzył wzrokiem od stóp do głów. Bez pośpiechu lustrował zabłocone gumowce, uszargane spodnie, wielką bluzę z wytartymi mankietami i dziurą na łokciu oraz czarne, potargane przez wiatr włosy. Pomimo że spędzała wiele godzin dziennie na dworze, jej skóra zachowała odcień kwiatu magnolii. Ogrodniczka miała ostro zarysowany podbródek, mały, zadarty nosek, wydatne usta o pełniejszej górnej wardze i głębokie, niebieskie oczy, okolone czarnymi rzęsami.

- „Okropne dziwadło, ale też wielki talent” - ponownie zacytował starszego wojskowego.

- No cóż, major ma nieco staroświeckie poglądy. Kobieta jakoś mu nie pasuje do tego zawodu - skomentowała bez cienia urazy.

- „Zostawi po sobie wzorowy porządek” - przytoczył kolejną opinię równie cierpkim tonem.

- Niech pan tylko wejdzie do sklepu Barbary. Sam pan zobaczy, jaka z niej pedantka. Nawet puszki z zupą stoją na półce równiutko jak wojsko w szeregu.

- „Prawdziwy skarb”.

- Betty nikomu nie żałuje komplementów. Proszę nie zapominać o „naszym kochanym słoneczku” - zażartowała na koniec.

Bynajmniej nie rozproszyła ponurego nastroju potencjalnego klienta. Nadaj patrzył na nią spode łba. Dała mu po temu powody. Zagrała wyjątkowo nieczysto, ukrywając własną tożsamość. W piątkowy wieczór ciekawość przeważała nad uczciwością. Chciała, żeby powtórzył opinię o jej pracy bez żadnych przemilczeń. Zdawała sobie sprawę, że takie tłumaczenie niespecjalnie go przekona. W świetle dnia świeża szrama błyszcząca żywą czerwienią na tle bladej skóry. Co dziwne, wcale go nie szpeciła. Dodawała mu nawet pewnej tajemniczości. Dzięki niej męska twarz z przydługimi włosami, przyprószonymi na skroniach siwizną przypominała oblicze pirata z filmów przygodowych. Nie wyraziła głośno swojej opinii. Lodowate, nieprzystępne spojrzenie wyraźnie mówiło, że Beau Garrett nie zniesie jakiegokolwiek komentarza na temat obecnego wyglądu.

Ten przystojny mężczyzna około czterdziestki o wzroście ponad metr osiemdziesiąt od dawna przyciągał żeńską część telewizyjnej widowni przed odbiorniki. Nie dziwota, że Madelaine, czterdziestopięcioletnia piękność, owdowiała przed ośmiu laty, dokładała wszelkich starań, żeby ściągnąć go do siebie. Koleżanki zapewne pękały z zazdrości, że jako

pierwsza gości tak znakomitą osobistość, a przede wszystkim tak wspaniałego kandydata na męża, jaki nie zawitał do wsi od wieków. Jaz nie znała jego stanu cywilnego, nie wróżyła jej jednak sukcesu. Rzadko oglądała telewizję, nie czytywała też plotkarskich czasopism. Jednak zmarszczki goryczy wokół oczu i ust powiedziały jej, że znany dziennikarz nikomu nie ufa i nie życzy sobie żadnych bliższych kontaktów. Nie martwiło jej to specjalnie. Nie szukała męża. Prowadzenie gospodarstwa ogrodniczego i firmy projektowej nie pozostawiało czasu nawet na zadbanie o siebie, a co dopiero na opiekę nad mężem i dziećmi.

- Dlaczego Jaz? - wyrwał ją nagle z zamyślenia.

- Skrót od Jasminy - odrzekła z odrazą. - Ale z całego serca odradzam nazywanie mnie w ten sposób, jeśli nie chce pan zostać moim wrogiem.

- Rozumiem. - Parsknął śmiechem. - Tak samo zareagowałbym, gdyby ktoś mówił na mnie Beauregard. Rodzice czasami wykazują równie wiele fantazji, co braku umiaru, bez zastanowienia narażając Bogu ducha winne dzieciaki na kpiny.

Jaz przyznała mu w duchu rację. Trafił jeszcze gorzej niż ona.

- Jeżeli kiedykolwiek urodzę dziecko, nadam mu jakieś banalne imię typu Mary albo Mark.

Beau Garrett zmarszczył brwi.

- Czemu na szyldzie przedsiębiorstwa widnieje napis: „J. Logan i Synowie”?

- To taki żart mojego ojca. Nazywał się John Logan. Tych synów sobie wymyślił. Naprawdę miał tylko jedną córkę, czyli mnie.

- Aha - mruknął, bynajmniej nierozbawiony. - Zauważyłem, że użyła pani czasu przeszłego.



Jaz uznała, że Beau, wychowany w stolicy, wykazuje więcej przenikliwości niż najbardziej dociekliwe wiejskie kumoszki.

- Tata zmarł trzy lata temu. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Właśnie ukończyłam studia. Zostawiłam ten napis na pamiątkę. - Nie dodała tylko, że owe wspomnienia z przeszłości z niewiadomych przyczyn mobilizowały ją do wyteżonej pracy.

- A mama? - dopytywał dalej.

- Dowcipy ojca jej także nie bawiły. Odeszła od nas, gdy miałam siedemnaście lat.

- Och, jakże mi przykro!

- Niepotrzebnie - ucięła.

Nie zdradziła, że matka uciekła z kochankiem. Zginęli w wypadku samochodowym na południu Francji trzy miesiące później. Usiadła za biurkiem.

- Już wiem, na czym polega pańska recepta na sukces. Niepostrzeżenie wyciąga pan z człowieka najgłębiej skrywane sekrety - podsumowała ze zdumieniem.

Przez całe lata nie myślała o minionych wydarzeniach, póki ten obcy nie skłonił jej do zwierzeń. Postanowiła na przyszłość lepiej strzec własnej prywatności. Na szczęście nie indagował dalej.

- Przejdźmy do sprawy - zaproponował poważnie. - Czy znajdzie pani czas, żeby uporządkować dla mnie teren wokół Starej Plebanii?

- Oczywiście - odrzekła równie rzeczowym tonem. - Czy mogę wpaść dziś po południu, żeby oszacować koszty i określić przypuszczalny termin ukończenia robót?

- Nawet nie zajrzała pani do terminarza. Z tego wniosek, że w interesach panuje zastój,

- Jak zwykle w połowie marca, przed sezonem. Akurat doszła pora, żeby uprzątnąć i ukształtować teren, a także sporządzić plan nasadzeń - wyjaśniła.

O tej porze roku żaden ze stałych klientów nie prosił jeszcze o pielęgnację trawników ani o urządzenie rabatki. Martwiło ją tylko, że od dawna nie otrzymała żadnego zlecenia na wykonanie projektu czy choćby prac porządkowych. Niezapłacone rachunki czekały w szufladzie na lepsze czasy. Gdyby Beau Garrett ją zatrudnił, uregulowałyby przynajmniej najpilniejsze. Życzyła sobie z całego serca, żeby powierzył jej zadanie urządzenia ogrodu przy Starej Plebanii.

- Wierzę pani - oświadczył z nieco ironicznym uśmiechem.

- Za to ja z trudem przyjmuję do wiadomości, że pan tam zamieszka.

Kiedy miesiąc temu tablica „Do sprzedania” znikła sprzed drzwi wejściowych, w całej wiosce zawrzało od spekulacji, kto też zostanie nowym właścicielem koszmarnego domostwa. Olbrzymia, zrujnowana budowla świeciła pustkami od pięciu lat. Ostatni lokatorzy, zrażeni kłopotami z przeciekającym dachem, przestarzałą kanalizacją i instalacją elektryczną oraz niebotycznymi kosztami ogrzewania znaleźli sobie wygodniejszy dom na końcu wsi.

Beau popatrzył badawczo na Jaz.

- Sugeruje pani, że podjąłem pochopną decyzję? Dlaczego?

- Stan posesji określiłabym jako opłakany. Trudno też stąd dojechać do Londynu - zauważyła.

Beau Garrett przeprowadzał swoje wywiady w piątki o dziesiątej wieczór. Po zakończeniu pracy musiałyby przemierzyć nocą parę setek kilometrów.

- Jeszcze jakieś zastrzeżenia? - dopytywał dalej z niebezpiecznym błyskiem w oku i nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Uważam ten dom za zbyt wielki dla samotnego człowieka. Chyba że chce pan sprowadzić swych bliskich - spróbowała określić drogą uzyskać informację o jego sytuacji rodzinnej.

- Nie mam takiego zamiaru - uciął krótko. - Proponuję powrócić do tematu - zasugerował uprzejmie, ale stanowczo.

Jaz pojęła, że nic od niego nie wyciągnie. Uszanowała jego prawo do prywatności. Nie nalegała więcej.

- W porządku. Resztę omówimy po południu. Jeżeli dzisiaj dojdziemy do porozumienia, w środę rozpocząłabym sprzątanie posiadłości. Wpół do trzeciej?

- Tak. Mam nadzieję, że można na pani bardziej polegać niż na tym majstrze budowlanym?

- zapytał na pożegnanie. W drodze do drzwi przystanął jeszcze na chwilę i dodał: - Nagabywałem go od kilku dni, żeby wreszcie raczył przybyć. Powinien rozpocząć robotę w zeszłym tygodniu, tymczasem dzisiaj przyszedł po raz pierwszy.

- Całkiem nieźle. Najwidoczniej zrobił pan na nim dobre wrażenie - skomentowała ze śmiechem.

- Umie pan postępować z niesolidnymi pracownikami.

- Po prostu nic znoszę, jak byle głupek wodzi mnie za nos - odburknął.

Jaz w pełni podzielała irytację nowego zleceniodawcy. Doskonale pamiętała, że sama czekała tygodniami, aż Dennis Davis, jedyny fachowiec w okolicy, wymieni u niej dziurawe dachówki.

- Ja przyjadę punktualnie co do minuty, tak jak panu obiecałam - zapewniła.

- Proszę mówić mi po imieniu - zażyczył sobie dość szorstkim tonem.

Jaz poczuła, że się czerwieni. Perspektywa przejścia na „ty” z wyniosłą gwiazdą telewizji okropnie ją krępowała, zwłaszcza że pozornie przyjacielska propozycja absolutnie nie pasowała do chłodnego sposobu bycia nowego klienta. Odnosiła wrażenie, że dzieli ich dystans nie do pokonania. Nie pozostało jej nic innego jak przyjąć propozycję.

- Jaz - powiedziała krótko. - No to do zobaczenia.

- Jeśli nie zabawię zbyt długo w sklepie, zdążę na czas. - W szarych oczach zamigotały wesołe iskierki.

Widocznie przewidział, że Barbara Scott, znana nie tylko jako wielka pedantka, ale i jako zapalona plotkara, zechce go wyciągnąć na pogawędkę, a potem rozgłosi wszem i wobec każde usłyszane słowo.

- Widzę, że poznałeś już tutejsze obyczaje - stwierdziła Jaz z uznaniem. - Z czasem do nas przywykniesz.

- Właśnie zaczynam w to wątpić - mruknął bez entuzjazmu, po czym odszedł przez zabłocony podjazd w kierunku swego range - rovera.

Jaz pokiwała mu na pożegnanie. Gdy odjechał, uśmiech zgasł na jej ustach na widok sterty zaległych rachunków. Ostatnie zdanie dziennikarza niemalże odebrało jej nadzieję, że otrzyma upragnione zlecenie. Nurtowało ją także pytanie, czego sławna osobistość szuka w takiej zapadłej dziurze.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jaz natarczywie zapukała do drzwi Starej Plebanii. Gdy tylko Beau Garrett je otworzył, wpadła jak burza do środka.

- Przepraszam za spóźnienie. Wyjechałam w porę, ale moja stara ciężarówka złapała gumę. Wymiana kola zajęła mi sporo czasu - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Nie widzę powodu do zdenerwowania - spróbował ją uspokoić gospodarz. - Umazałaś sobie buzię. Łazienka jest na prawo. Kiedy będziesz gotowa, przyjdź do kuchni po drugiej stronie korytarza - raczej rozkazał, niż poprosił.

Jaz znikła za wskazanymi drzwiami. Stała przed lustrem. Po cichu przeklinała idiotyczny przypadek, który zatrzymał ją w drodze. Zaledwie kilometr od celu pękła jej dętka w oponie. Koło zapasowe wyglądało niewiele lepiej. W dodatku śruby zardzewiały i z typową, złośliwością martwych przedmiotów stawiały zacięty opór przy wykręcaniu. Cud, że przy całkowitym braku doświadczenia spóźniła się nie więcej niż pół godziny.

Weszła do kuchni, przeprosiła jeszcze raz, po czym zamilkła.

Ściśle mówiąc, zaniemówiła z wrażenia, zaskoczona niezwykłą przemianą. Gdy ostami raz widziała to wnętrze, na podłodze straszło porwane linoleum, a na ścianie zacieki. Piec dymił, a szare meble z czarnymi blatami jeszcze pogłębiały przygnębiające wrażenie. Obecnie podłogę wyłożono kamiennymi płytkami w ciepłym odcieniu, a ściany żółtymi kafelkami. Bure graty wymieniono na meble z jasnego drewna. Nowoczesny grzejnik dostarczał mnóstwo ciepła. Jaz wydała okrzyk zachwyty.

Beau postawił na stole dwa kubki z kawą, cukier i śmietankę. Wskazał jej krzesło. Usiadła z przyjemnością.

- To miejsce zawsze mnie przygnębiało. Teraz wygląda fantastycznie - stwierdziła z prawdziwym entuzjazmem.

- Zawsze? - powtórzył kluczowe słowo. Żaden szczegół nie umknął jego uwagi.

- No cóż, i tak wcześniej czy później ktoś ci o wszystkim opowie - westchnęła z rezygnacją. - Lepiej, żebym zrobiła to sama. Mój dziadek był ostatnim pastorem, który tu mieszkał. Następny wybudował nową plebanię na końcu wsi. Obecnie służy Boothom. Jako dziecko często tu bywałam - dodała z wyraźną niechęcią, po czym szybko zmieniła temat; - Jak przebiegła wyprawa do sklepu?

- Zgodnie z przewidywaniami. Na szczęście po piętnastu minutach nowy klient wybawił mnie od niedyskretnych pytań pani Scott. Uciekłem w popłochu - zakończył z ponurą miną.

- Mniej więcej po dwudziestu latach plotkarze stracą zainteresowanie twoją osobą.

- Cudownie! Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie życie na wsi.

- Już to widzę. Ptaszki w koronach drzew, dzieci biegające po łące, pogawędki sąsiadów przy płocie, prawda? Zobaczysz to wszystko, ledwie słońce przygrzeje. Ale i wtedy plotki nie ucichną. Stanowią podstawowe ogniwo, łączące członków lokalnej społeczności, umacniają więzi międzyludzkie.

- Których wcale nie potrzebuję - wpadł jej w słowo. - Poszukuję odosobnienia. Rozczaruję ciekawskich. Zamierzam zachować dystans wobec innych i unikać skandali - zapewnił z nachmurzoną miną.

Jaz wołała nic wyprowadzać go z błędu. Już samo przybycie do Aberton czołowego gwiazdora telewizji wywołało niezły ferment. Listonosz twierdził, że leczy rany po zawodzie miłosnym. Podobno porzuciła go sympatia, gdy tylko zobaczyła zeszpeconą po wypadku twarz. Inni szeptali, że pracuje nad książką. Milczenie Beau Garretta tylko podsycalo ludzką fantazję. Jaz uznała po namyśle, że gdyby

zdradziła mu tajniki funkcjonowania poczty pantoflowej, zraziłaby go ostatecznie do zamieszkania w Aberton. Nie leżało to w jej interesie.

- Dość tych dyskusji - zdecydowała. - Czeka mnie mnóstwo pracy w ogrodzie.

- Na razie przypomina raczej dżunglę - mruknął

Wstał i wyszedł na zewnątrz.

Wśród chwastów wałała się masa różnego rodzaju odpadków. Stare drzewa spróchniały, należało je wyciąć. Chaszcze wymagały przetrzebienia. Zadbana niegdyś szklarnia, oczko w głowie babci, zupełnie podupadła. Jaz nie zauważyła ani jednej całej szyby. Wspomniała z nostalgią niegdysiejszą urodę tego zakątka, zabawy z dzieciństwa, budowanie szałasów wśród krzewów i pikniki z dziadkami na wypielegnowanych trawnikach. Wyobrażała sobie, że kiedy dorośnie, posadzi jabłonki wokół własnego domu i zawiesi huśtawki dla swoich dzieci. Teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek zrealizuje dziewczęce marzenia. Głos Beau Garretta przypominał, że nie przyszła tu z sentymentu, tylko w interesach:

- Ohyda, prawda?

- Bez przesady. Trzeba tylko zacząć od odgruzowania terenu. Większość śmieci można oddać na złom.

- Podziwiam twój optymizm. Mnie ten widok zniechęca do jakichkolwiek działań - powiedział raczej do siebie niż do niej.

- Rozumiem. Marzyłeś o prywatnym rajku na ziemi. Mój dziadek mawiał, że dopiero wtedy zaznamy szczęścia, gdy odnajdziemy je w głębi własnej duszy. - Zajrzała mu głęboko w oczy.

Przytoczona sentencja obudziła w niej emocje, do których nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą. Życie na ogół nie dawało jej zbyt wielu powodów do radości.

- Zastanawiające - powiedział przez ściśnięte gardło.

Jaz czuła od niego niemalże fizyczny chłód. Znow rozdzielił ich niewidzialny mur. Intuicja podpowiedziała, że nieświadomie poruszyła w nim jakąś czułą strunę, chociaż myślała wyłącznie o własnej przeszłości i powikłanych losach swej rodziny. O życiu nowego właściciela Starej Plebanii nic wiedziała przecież nic.

- Chyba popełniłam jakiś nietakt. Przepraszam, nie traktuj tych słów jako aluzji.

- Nieważne - mruknął. - Przyjdź w środę. Zatrudniam cię. Określ przypuszczalne koszty, podaj kwotę wynagrodzenia i przyślij mi rachunek.

- Przede wszystkim potrzebuję kontenera na śmieci. Następnie...

- Po co robisz takie ceregiele zamiast wprost zażądać zaliczki? - przerwał, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Ponieważ nie lubię prosić o pieniądze! - wykrzyknęła urażona arogancką uwagą.

O ile wcześniej współczuła mu z powodu wypadku i usiłowała odgadnąć przyczyny sceptycznego podejścia do życia, teraz drażniło ją grubiaństwo kapryśnego gwiazdora. Nie przewidziała jednak najgorszego.

- Teraz rozumiem, czemu jeździsz na łąsych oponach, przymierasz głodem i ubierasz się jak strach na wróble - odparował ze złością i wyszedł do kuchni.

Jaz zaniemówiła z oburzenia. Najbardziej bolało, że rzucił jej w twarz gorzką prawdę. Ciężarówka po ojcu trzymała się już tylko na rdzy, interes podupadał, a ona od niepamiętnych czasów nie kupiła sobie żadnej sztuki odzieży. Co wcale nie upoważniało nowo poznanego człowieka do złośliwych komentarzy.



- Wybacz, Jaz - usłyszała za plecami głos Beau, tym razem łagodny i pełen skruchy. - Nie powinienem wyładowywać swoich humorów na niewinnej osobie.

Nie od razu odwróciła głowę. Zamrugła, żeby nic widział, jak głęboko ją zranił.

- Nie przepraszaaj za szczerość - odrzekła tak spokojnie, jak potrafiła. Nie podniosła na niego wzroku. - Ja pierwsza cię zdenerwowałam. Pozwoliłam sobie na zbyt osobiste refleksje. Uwierz mi, nie dotyczyły ciebie, tylko mnie. To miejsce zbyt silnie oddziałuje na moją psychikę. - Westchnęła ciężko, Później zmarszczyła brwi. - Już zapomniałam...

- O czym? - Niemalże hipnotyzował ją wzrokiem.

W odruchu obrony odwróciła głowę.

- Nieważne. - Roześmiała się sztucznie. Obserwował ją jeszcze przez chwilę. Nic nie uzyskał. Jaz zdążyła już opanować wzburzenie. W końcu dał spokój. Wzruszył ramionami i wręczył jej czek.

- To powinno wystarczyć na pierwsze wydatki. Jaz osłupiała na widok szeregu cyfr. Gdyby to ona

określała stawkę, zażądałaby podobnej kwoty nie w charakterze zaliczki, lecz wynagrodzenia za całe zlecenie, Potrzebowała tych pieniędzy. Równocześnie duma nie pozwalała jej ich przyjąć. Po długiej wewnętrznej walce uznała, że nie popełnia żadnego wykroczenia. Nie wyłudziła ich przecież. Odpracuje hojne honorarium, a potem popłaci rachunki i wreszcie zafunduje sobie porządniejszy obiad niż nieśmiertelna fasola i grzanki z pomidorem. Niemalże czuła zapach pieczonego kurczaka. Łakomstwo przeważyło szalę. Podziękowała i włożyła czek do kieszeni spodni. W tym momencie usłyszeli hałas na dachu. Unieśli głowy. Dennis Davis mocował elementy rusztowania. Nie poczynił wielkich postępów od momentu przybycia Jaz. Beau skrzywił się.

- Najbardziej odpowiadałoby mi, gdybyś zaczynała o dziewiątej. Później panuje tu rozgardiasz jak na placu budowy. Chciałbym przynajmniej ranki spędzić w spokoju.

Jaz bez wahania wyraziła zgodę. Doskonale wiedziała, co go czeka. Na wieczory w domowym zaciszu raczej nie mógł liczyć. Gdyby po wizycie u Madelaine nie przyjął kolejnych zaproszeń, obraziłby wszystkie pozostałe panie domu. Być może nawet bez większych skrupułów. Nie wyglądał na człowieka przesadnie dbającego o opinię. Nie zastanawiała się nad tym dłużej. Niewiele ją obchodziło, jak przybysz ułoży sobie stosunki z innymi mieszkańcami Aberton. Najważniejsze, że zapewnił jej środki na uregulowanie długów. Była mu naprawdę wdzięczna.

- Doskonały pomysł. Przy okazji przypilnuję Dennisa. Lubi sobie czasem urządzić wagary w najmniej odpowiednim momencie.

- Ze mną taki numer nie przejdzie - oświadczył chłodno.

Jaz nie wątpiła, że Beau Garrett pokona każdy opór i wyegzekwuje dotrzymanie umowy nawet od patentowanego lenia. Zdawała sobie również sprawę, że jeśli nie odsunie na bok wszystkich przygnębiających wspomnień i nie skupi całej uwagi na wykonaniu zadania, utraci intratne zlecenie. Przyrzekła sobie, że da z siebie wszystko. Pożegnała go pośpiesznie. Powrót do miejsc znanych z dzieciństwa kompletnie ją wyczerpał.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co to ma znaczyć?!

Jaz odwróciła głowę na dźwięk głosu pracodawcy. Słyszała w nim mieszaninę zaskoczenia i oburzenia. Przeszkodził jej. Dźwigała właśnie wyjątkowo ciężki kamień. Kiedy przybyła rano, nie zastała ani gospodarza, ani jego auta na podjeździe. Tylko Dennis stukał młotkiem na dachu. Otworzyła sobie furtkę i zaczęła sprzątać. Od razu zauważyła nowy kontener przy płocie. Ucieszył ją ten widok. Świadczył o tym, że szef zwykł dotrzymywać słowa. Silny wiatr rozwiął jej włosy. Prawie nie widziała rozmówcy przez ich gęstą zasłonę. Beau podszedł bliżej. Wyjął z jej rąk kamień i odrzucił go ze wstrętem. Dopiero kiedy uwolnił ją od ciężaru, założyła za uszy niesforne pasma. Popatrzyła na niego z bezgranicznym zdumieniem. Nawet w najzwyklejszym swetrze i drelichowych spodniach wyglądał oszalamiająco. Natomiast marsowe oblicze nie zapowiadało przyjaznej konwersacji. Prawdę mówiąc, stawiało pod znakiem zapytania możliwość jakiegokolwiek dalszej współpracy. Nie rozumiała, w czym zawiniła.

- Nie wyrzucam ich, składam tylko w jedno miejsce.

- Nie dbam o ten gruz. Możesz go sobie rozbić w pył. Pytam tylko, dlaczego je sama dźwigasz. Zakładałem, że do ciężkich prac fizycznych zatrudniasz mężczyznę.

Przeraziło ją to stwierdzenie. Gdyby wynajęła robotnika, nie wystarczyłoby jej pieniędzy nawet na zapłacenie najpilniejszych rachunków. Wyprostowała się. Zdawała sobie sprawę, że ani jej drobna sylwetka, ani wzrost - niewiele ponad metr pięćdziesiąt - nie robią imponującego wrażenia. Niemniej jednak zaciekle broniła swego stanowiska:

- Prowadzę jednoosobowe przedsiębiorstwo. Tylko stary Fred pomaga mi czasem w szklami. Nie jestem wprawdzie

zbyt dorodna, ale sił mi nie brakuje. Wszystkie zadania realizuję samodzielnie, panie Garrett.

- Beau - przypomniał oschle. - Wierzę ci. Mimo wszystko nie pozwolę, żebyś sama dźwigała ciężary.

Jaz wpadła w panikę. Wyglądało na to, że on nie ustąpi. Miała rację.

- Pomogę ci - powiedział, jakby odgadł jej obawy;

Staroświeckie, dżentelmeńskie podejście do kobiet wzruszyło Jaz. Zaczynała go nawet lubić. Co nie zmieniało faktu, że wprawił ją w wielkie zakłopotanie. Nie mieściło jej się w głowie, że najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, od lat wygrywający w rankingach na najatrakcyjniejszego prezentera telewizji, zamierza tyrać jak prosty robotnik. Co gorsza, przez kilka godzin będzie oglądał ją spoconą, rozczochną, dyszącą z wysiłku, ubraną "jak strach na wróble", Czowała się w tym momencie równie pociągająca jak zardzewiały rower, który przed chwilą wrzuciła do pojemnika. Nie robiła sobie żadnych złudzeń. Nawet gdyby włożyła odświętny strój, nie oczarowałyby znakomitego szefa. Niemniej jednak złośliwa uwaga sprzed dwóch dni nadal bolała. Najchętniej odesłałaby go na koniec świata, żeby nie oglądał jej w tak żalosnej kondycji. Spróbowała nawet to zrobić:

- Wykluczone. Przy tego typu zajęciach łatwo o skaleczenie. Moja polisa ubezpieczeniowa nie obejmuje ewentualnych pomocników.

- Do diabła z ubezpieczeniem - warknął.

- Nikt mi nie zabroni robić porządków wokół domu. -  
Chwycił największy z odłamków skalnych i rzucił na taczkę. -  
Kto tu tyle tego naznosił?

- wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Moja babcia. Urządziła prześliczny skalny ogródek. Uwielbiała go - dodała z figlarnym uśmiechem.

Nie ulegało wątpliwości, że Beau Garrett nie podziela jej zachwyty. Wyprostował plecy. Jaz zauważyła ironiczne błyski w szarych oczach.

- Pomożesz mi czy zamierzasz stać i obserwować mnie przez cały dzień?

- Wybacz, wciąż nie mogę uwierzyć własnym oczom - wymamrotała z wypiekami na twarzy.

Podniosła jakiś mniejszy odłamek, odwrócona tyłem, żeby nie widział jej zażenowania.

- Na razie złożymy je w szklarni, żeby nie przeszkadzały. Później prawdopodobnie założę nowy skalniak.

- Że też sam na to nie wpadłem! - wykrzyknął, wyraźnie niezadowolony z siebie.

Chwycił ręczki napełnionych już taczek i popchnął ją energicznie w kierunku zarośniętej chwastami ścieżki.

Transport potężnego ładunku po wyboistej, najeżonej przeszkodami drodze wymagał zarówno siły fizycznej, jak i pełnej koncentracji uwagi. Jaz była mu szczerze wdzięczna za pomoc. Po chwili obydwójce ramię w ramię układali głazy w rogu szklami jak para kolegów. Przynajmniej tak to z zewnątrz wyglądało. Jaz bowiem ukradkiem obserwowała gibką sylwetkę i zwinne ruchy towarzysza. Gdyby ktoś tydzień temu powiedział jej, w jaki sposób spędzi dzień z gwiazdą telewizji, wyśmiałaby go. Dziesięć minut później ukończyli pracę. Beau zarządził przerwę na kawę. - Czy Dennis też przyjdzie?

- Nie - odburknął z wyraźną niechęcią.

- W takim razie nie rób sobie kłopotu ze mną. Wzięłam ze sobą kanapki i termos - zaprotestowała, zażenowana niezbyt sprawiedliwym, jej zdaniem, wyróżnieniem.

- Zachowaj je na później. - Samo spojrzenie mówiło, że nie uzna żadnych kontrargumentów.

Jaz zaniechała oporu. Z ociąganiem podążyła za szefem. Stukanie młotka na dachu przypominało, że korzysta z niezasłużonych przywilejów. Zostawiła kalosze na schodach. Weszła do pokoju w samych skarpetkach. Po kilku minutach aromat wybornej kawy rozproszył wyrzuty sumienia. Beau postawił na stole cukier i śmietankę. Później podał jej kubek z gorącym napojem. Upiła łyk.

- Delicje - pochwaliła. - Nie gniewaj się za tamtą uwagę w ogrodzie. Nie wątpiłam w twoją pracowitość czy możliwości. Zrozum, pospolite zajęcia nie pasują do twego zwykłego wizerunku. Kiedy ostatnio widziałam cię w telewizji, rozmawiałeś z laureatką Oscara... - Zamilkła nagle na widok lodowatego spojrzenia i zaciśniętych szczęk Beau. Najwidoczniej znów go uraziła mimo woli. Nie wiedziała, jak z nim postępować. - Chyba znów coś palnęłam - wykrztusiła. - Wybacz.

- Jeżeli nie przestaniesz przeproszać co pięć minut, trudno mi będzie z tobą wytrzymać. - Posłał jej jakiś dziwny, niewesoły uśmiech. Przez cały czas nie odrywał od niej wzroku. - Chyba wiesz, że jesteś podobna do Catherine Zeta - Jones? To piękna kobieta!

- Tak mówią - mruknęła zażenowana, a jednocześnie rada z porównania do słynnej piękności.

- Koniec przerwy, wracamy do pracy. - Przyjrzał jej się badawczo. - Nawiasem mówiąc, wcale nie próbowałem czarować. Trudno przeoczyć to zmysłowe wygięcie górnej wargi, ten sam pełny zarys dolnej,.. - powiedział powoli, jakby z rozmarzeniem.

Jaz instynktownie oblizwała usta końcem języka, Natarczywe spojrzenie Beau zaparło jej dech w piersiach. Żaden z niewielu chłopców, z którymi flirtowała jako nastolatka, nie pozerął jej wzrokiem w taki sposób. Po dwudziestym roku życia nie spotykała się już prawie z nikim.

- Chyba czas pomyśleć o wizycie u okulisty - zażartowała, żeby pokryć zmieszanie.

Szczery uśmiech rozbawienia w ułamku sekundy nadał twarzy Beau szelmowski, niemalże chłopięcy wygląd. Wprawił Jaz w absolutny zachwyt. Szkoda tylko, że prawie natychmiast zgasł Czar prysł.

- Racja, starszankowie przeważnie noszą okulary - odburknął z chmurną miną.

Jaz osłupiała. Kolejny raz zbił ją z tropu. Ulubieniec telewizyjnej publiczności wyglądał, jakby dopiero niedawno przekroczył trzydziestkę. Nawet nie przemknęło jej przez głowę, że potraktuje niewinne przekomarzanie jako aluzję do swego wieku. Zawstydziała się. Woląca nie przedłużać rozmowy i nie ryzykować kolejnych nieporozumień.

- Praca czeka - wykrztusiła niezręcznie. Dopięła zimną już kawę, wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Jaz?! - zawołał za nią miękko. Przystanąła w miejscu. Zanim odwróciła ku niemu głowę, wyrównała oddech. Wyprostowała plecy.

- Słucham? - prawie wyszeptała, niepewna co dalej nastąpi.

Podszedł bliżej. Dostrzegła wahanie w jego oczach.

- Pewnie nie ja pierwszy zauważyłem, jaka jesteś piękna...

- No nie, tego już za wiele! - wykrzyknęła urażona.

Rozczarowało ją, że próbuje prowadzić jakąś grę. Przed chwilą, gdy pomagał jej w ogrodzie, uznała go za dżentelmena.

Nie zdążyła opuścić domu. Beau delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem położył jej obie dłonie na ramionach. Powoli przyciągnął ją do siebie. Ciepły gest bynajmniej nie poprawił jej nastroju. Po ucieczce matki we wsi huczało od plotek. Wszyscy wzięli ją na języki. Słuchała nietaktownych aluzji z wysoko podniesioną głową, udając, że nic sobie z nich

nie robi. W końcu sąsiedzi znaleźli sobie nowe obiekty zainteresowania, ale Jaz nigdy nie zapomniała gorzkiej lekcji. Po latach względnego spokoju wcale nie pragnęła mocnych wrażeń. Nie życzyła sobie, żeby ledwie poznany mężczyzna wprowadzał na nowo zamieszanie w jej życie.

Kolejny raz wymówił jej imię. Zmarszczył brwi. Popatrzył na nią pytająco. Gdy usłyszał pukanie do drzwi, opuścił ręce. Dennis Davis wparował do środka, nie czekając na zaproszenie, w momencie, gdy szef i pracownica stali zaledwie pół kroku od siebie - zdecydowanie za blisko jak na dwie osoby, które łączą jedynie stosunki służbowe.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Segregowanie korespondencji nie należało do ulubionych zajęć Jaz. Na ogół nie zawierała nic przyjemnego - przeważnie rachunki do zapłacenia. Tym razem na jednej z kartek papieru nie znalazła znienawidzonych cyfr. Widniały na niej tylko cztery słowa, znacznie gorsze niż wezwanie do zapłaty:

Jaka matka, taka córka.

Ręka Jaz bezwładnie opadła na biurko. Czytała znane przysłowie wciąż na nowo, coraz bardziej zdenerwowana. Bez wątpienia ktoś chciał jej dokuczyć. Bezpodstawnie. Nie odnajdowała w swojej osobowości żadnych cech matki. Przemierzyła pokój chyba ze sto razy, szukając w zakamarkach pamięci potencjalnego wroga. Nagle doznała olśnienia. Koperta! Nie spodziewała się znaleźć adresu zwrotnego, lecz krój liter, a przede wszystkim stempel z datą i miejscem nadania powinny dostarczyć jakichś informacji. Tak bywało w powieściach kryminalnych. Natomiast w rzeczywistości zarówno tekst, jak i nazwisko adresatki napisano na komputerze standardową czcionką bez żadnych znaków szczególnych. Ani śladu znaczka czy pieczętki. Wskazywało to na miejscowego nadawcę. List leżał na podłodze wraz z resztą korespondencji, gdy przyszła do domu wieczorem po zakończeniu pracy. Nie potrafiła nawet określić, kiedy go podrzucono. Poczowała skurcz w żołądku na myśl, że znała, może nawet lubiła autora wrednego anonimu.

- Jest ktoś w domu?

Jaz bez trudu rozpoznała głos Beau Garretta.

- Tak! - zawołała.

Pospiesznie wsunęła anonim do koperty. Zamknęła go w szufladzie i docisnęła ją brzuchem, tak jakby skrawek papieru mógł wypełznąć na blat i zaprezentować gościowi zawartość. Przez chwilę rozważała możliwość opowiedzenia pracodawcy o dziwacznej przesyłce. Szybko odrzuciła ten pomysł. Nie

powinna zawracać mu głowy swoimi kłopotami. Zresztą nic widziała sensu zawierzania swych trosk komukolwiek. Jednak bystre oko dziennikarza od razu dostrzegło zmianę na jej twarzy.

- Strasznie pobladłaś - zauważył. - Czy coś się stało?

- Nic szczególnego. To chyba z głodu. Poza tym przed chwilą otrzymałam rachunek za prąd - uspokoiła go z przyjaznym uśmiechem.

- Jasne. W takim razie zechciej ze mną zjeść kolację w pubie. Zobaczyłem światło w oknie i pomyślałem sobie, że po ciężkim dniu pewnie brakuje ci sił na gotowanie tak samo jak mnie.

Jaz otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Sam Beau Garrett zapraszał ją do restauracji. Najprawdopodobniej żałował swego wcześniejszego postępowania i postanowił naprawić wzajemne stosunki. Jaz uciekła z kuchni zaraz po wejściu Dennisa Davisa a o godzinie siedemnastej, po zakończeniu pracy wyjechała bez pożegnania. Beau najwyraźniej uznał, że zbyt długo rozważa propozycję.

- Zapraszam cię na kolację - powtórzył powoli, jakby tłumaczył małemu dziecku wyjątkowo skomplikowane zagadnienie. - Na mój koszt - dodał z naciskiem.

Dopiero ostatnia uwaga wywołała żywszą reakcję. Jaz pokraśniała na twarzy.

- Nie zwykłam korzystać z dobroczynności, panie Garrett - rzuciła oschle.

- Nie oferowałem jałmużny, panno Logan - odparował równie nieuprzejmie. - Zależy mi na tym, żeby osoba, którą zatrudniam, nie opadła z sił przed ukończeniem zlecenia.

Jaz przyznawała w duchu, że zasłużyła na tak ostrą reprymendę. Tym razem to ona wyładowała złość na niewinnym, szczodrym człowieku, który nie ponosił żadnej odpowiedzialności za to, że ktoś inny zranił jej uczucia.

Prawdę mówiąc, odpowiadała byle co, ponieważ przez cały czas sporządzała w myślach listę potencjalnych wrogów. W końcu doszła do wniosku, że jakiś młodociany miłośnik powieści kryminalnych spróbował naśladować czarne charaktery z książek Agathy Christie. Westchnęła głęboko. Uznała, że lepiej spędzić wieczór wśród ludzi, niż siedzieć za biurkiem i podejrzewać o najgorsze intencje wszystkich razem i każdego z osobna. Przywołała na twarz najuprzejmiejszy z uśmiechów.

- Przepraszam za nietaktowną odzywkę. Z przyjemnością wyjdę z tobą coś zjeść. Pozwól tylko, że zmienię ubranie.

Po powrocie z pracy zamieniła roboczy strój na czysty, domowy, również niezbyt wytworny: drelichowe portki i spraną koszulę po ojcu.

- Możesz iść tak, jak stoisz - zapewnił. - Poinformowano mnie, że w miejscowym pubie podają „wyśmienite steki” - oznajmił głosem Barbary Scott.

Wreszcie rozbawił Jaz. Krztusiła się ze śmiechu, wkładając ciężką jesionkę.

- Nigdy nie myślałeś o aktorstwie? - zapytała w drodze do samochodu.

- Nigdy. A ty? Czy od początku chciałaś iść w ślady ojca?  
- Pospiesznie odwrócił uwagę od swojej osoby.

- Tak. Mam ogrodnictwo we krwi. Uwielbiam zbierać nasiona, pielęgnować sadzonki tak jak moja babcia - ta, która zaprojektowała i stworzyła skalny ogródek - przypomniła z ciężkim sercem.

Rozmowa o rodzinnych upodobaniach przypomniła, że nieznanemu nieprzyjaciel przypisywał jej cechy matki. Niesłusznie. Była to osoba samolubna, nieodpowiedzialna i kapryśna. Jaz nie odnajdowała w swoim charakterze żadnej z tych cech. Natychmiast zmieniła temat:

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Właściwie nie - uciał krótko z zagadkowym uśmiechem.

Zdecydowany ton świadczył o tym, że nadal nie zamierza tego robić.

Jaz stwierdziła, że skryte usposobienie Beau wcale jej nie przeszkadza, a nawet stanowi interesującą odmianę. Nieliczni mężczyźni, których dotąd spotykała, nawet podczas randek mówili wyłącznie o sobie. Nie określała w ten sposób dzisiejszego spotkania. Nie знаła nawet stanu cywilnego Beau Garretta. Co i tak nie miało żadnego znaczenia. Dzielili ich znaczna różnica wieku i życiowych doświadczeń. Przez lata pracy w telewizji przebywał w towarzystwie pięknych, wytwornych kobiet. Zaniedbana ogrodniczka nie wzbudziła jego zachwyty. Już na początku znajomości jasno wyraził dezaprobatę dla jej ubioru i stylu życia.

Podjechali pod budynek pubu. Beau wyłączył silnik.

- Odwagi, Jaz - zachęcił. - Zapewniam cię, że nie idziesz na kolację z żonatym człowiekiem.

- Jak odgadłeś moje obawy? - wykrztusiła prawie bez tchu.

- Nic trudnego. Sama ostrzegałaś mnie przed złośliwymi językami. Kilka dni temu pytałaś, czy sprowadzę rodzinę. Pomyślałem, że nie chcesz zaszargać sobie opinii - Urwał - Przed laty miałem żonę. Później również nie prowadziłem pustelniczego żywota, ale obecnie jestem sam - dokończył zmienionym, nieco schrypniętym głosem.

Jaz doceniała jego takt. Faktycznie przerażała ją perspektywa ponownego znalezienia się w centrum zainteresowania. Wystarczyło, że jej rodzinne problemy przez lata stanowiły ulubiony temat dyskusji mieszkańców Aberton. Niepokoiło ją tylko, że nowy znajomy bez trudu odgadł, co ją dreczy, jakby miała lęk wypisany na twarzy.

- Chyba sprawiam wrażenie zahukanej prowincjuszki - stwierdziła ze smutkiem w drodze od samochodu do lokalu.

- Ależ skąd! Twoja prostolinijność wnosi w moje życie powiew świeżości.

Weszli do gustownie urządzonej sali z kominkiem w rogu. Płonące w nim polana oświetlały wnętrze ciepłym blaskiem. Beau obrzucił lokal uważnym spojrzeniem.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze istnieją tak urocze knajpki - stwierdził z aprobatą.

- A Stara Karczma w Londynie? Podobno serwują tam znakomite piwo - zaoponowała z figlarnym uśmiechem. - Tutaj zresztą też.

- Ejże. nie rób mi wstydu! - podchwycił z szelmowskim błyskiem w oku. - Przeżyłem w stolicy trzydzieści dziewięć lat.

Usiedli przy stoliku nieopodal kominka. Jaz odnosiła wrażenie, że w momencie ich przybycia przycichły rozmowy. Nie dziwiło jej to. Pojawienie się znanej osobistości zawsze budzi sensację.

- Dobry wieczór, Jaz. Dawno cię nie widziałem! - zawołał na powitanie Tom, właściciel lokalu.

Powiedział szczerą prawdę. Skromne, nieregularne dochody nie pozwalały Jaz na jądanie w restauracjach. Poza tym zdawała sobie sprawę, że obecność samotnej kobiety nie robi w takich miejscach najlepszego wrażenia. Towarzystwo znanego dziennikarza zapewniło jej życzliwe przyjęcie. Kilka osób pozdrowiło ją serdecznie. Beau przyniósł napoje i kartę dań. Kiedy usiadł, gwar rozmów ponownie przybrał na sile. Utwierdziło to Jaz w przekonaniu, że wzbudzili sensację. Albo też ona dostała obsesji po otrzymaniu anonimu. Obserwowała znajomych wyjątkowo uważnie. Nie wykluczała, że gdzieś w pobliżu siedzi nieznany prześladowca. Beau podążył za jej wzrokiem.

- Wyglądają wyjątkowo sympatycznie - oświadczył.

- I tacy w większości są - potwierdziła. Usiłowała zapomnieć o obelżywym liście i jego nieznanym autorze. Popatrzyła na menu. Na widok samych nazw takich jak „kurczak pieczony po domowemu” czy „paszteciki z szynką” leciała jej ślinka. A już „smażona polędwica wołowa z podróbkami, grzybami i krążkami cebuli” stanowiła nieodpartą pokusę. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz próbowała podobnych rarytasów.

- Poproszę makaron z warzywami. - Wybrała najtańszą potrawę.

- Naprawdę to lubisz? - zapytał z niedowierzaniem, jakby odgadł, że o wyborze zdecydowała cena. Uniósł brwi. - Chyba nie jesteś wegetarianką? Ja zamówię stek z polędwicy.

Jaz, podobnie jak większość nastolatek, rozważała kiedyś pomysł rezygnacji z potraw mięsnych. W końcu dała sobie spokój. Wystarczył sam zapach smażonego boczku, by złamała postanowienie. Spożywanie dietetycznego dania, podczas gdy Beau będzie pałaszował smakowite mięso, byłoby dla niej prawdziwą torturą.

- Jem wszystko - wyznała. - Nie chciałam tylko nadużywać twojej uprzejmości.

Beau nie zadawał więcej pytań. Poprosił córkę Toma, Sharon, która obsługiwała jako kelnerka, o dwa steki.

- Miło z twojej strony - podziękowała Jaz, okropnie zakłopotana po czym szybko zwróciła się do dziewczyny: - Jak tam przygotowania do ślubu?

- Świetnie - padła lakoniczna odpowiedź. Koleżanki zawsze okazywały Jaz nieufność, gdy rozmowa dotyczyła cudzych mężów czy narzeczonych, ponieważ jej matka uciekła z żonatym mężczyzną. Jaz z ciężkim sercem stwierdziła, że nadawca złośliwego anonimu wyraził tylko powszechną, jakże niesprawiedliwą opinię. Sharon, smukła blondynka w nieprawdopodobnie obcisłej, krótkiej spódnicy

wychodziła za trzy tygodnie za jednego z miejscowych farmerów. Nie ukrywała radości, że małżeństwo uwolni ją od nudnych obowiązków.

Jaz pożałowała, że w jej szafie wiszą głównie spodnie. Postanowiła przy następnej okazji wyeksponować atuty własnej sylwetki. Wątpiła tylko, czy kiedykolwiek otrzyma ku temu okazję. Nie liczyła na ponowne zaproszenie.

Szorstki glos towarzysza wyrwał ją z zamyślenia:

- Czemu zamówiłaś warzywa, kiedy miałaś ochotę na stek?

- Nie chciałam wykorzystywać twej hojności - powtórzyła zgodnie z prawdą.

- Kto cię wpędził w tak straszliwe kompleksy, że wstydzisz się nawet tak naturalnej rzeczy jak apetyt? - zapytał z wyraźną dezaprobatą.

- Radzę ci natychmiast pozrywać znajomości z nieodpowiednimi osobami. Przy takich przyjaciółach nie potrzebujesz już wrogów - podsumował z odrazą.

- Nie wydawaj pochopnych sądów. To sprawa wychowania. Od dzieciństwa uczono mnie skromności.

Nie przekonała go. Nadal patrzył na nią podejrzliwie.

- Przyjmij więc do wiadomości, że to ty mi wyświadczasz przysługę. Nie cierpię spożywać posiłków w samotności.

Uwierzyła mu. chociaż wcześniej twierdził, że poszukuje odosobnienia. Gdyby przyszedł sam, każdy z gości próbowałby nawiązać bliższą znajomość ze znanym człowiekiem. Nie ulegało wątpliwości, że taka perspektywa mu nie odpowiadała. Jaz spróbowała wprowadzić swobodniejszą atmosferę:

- W takim razie ośmielę się poprosić o deser.

- Brawo! Teraz wierzę, że jutro zdołasz wraz ze mną wykarczować przynajmniej część chaszczy!

Jaz zdążyła już zapomnieć, że je kolację z pracodawcą. Postanowiła na przyszłość pamiętać, że interesują go wyłącznie jej kwalifikacje zawodowe.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Reszta wieczoru przebiegła w miłej atmosferze. Jedyny mankament stanowiła nieustanna krzątająca Sharon. Przyszła mężatka raz po raz podchodziła tanecznym krokiem do stolika. Ze słodkim uśmiechem pytała Beau o życzenia, wrażenia i zastrzeżenia. Wprost wychodziła ze skóry, żeby zwrócić na nią uwagę. Pochwyciwszy chmurne spojrzenie Jaz, Beau stwierdził lekkim tonem, że uważa usłużną kelnerkę za wyjątkowo miłą dziewczynę. Jaz oceniała ją zupełnie inaczej. Chodziły razem do szkoły. Po ucieczce matki to właśnie Sharon prześladowała ją w najbardziej wyrafinowany sposób. Nie wierzyła, że z wiekiem wyszlachetniała. Beau wyczuł jej przygnębienie. Popatrzył na nią z troską.

- Przywykłem do takiego zachowania - wyjaśnił zwięźle.  
- Ludzie z niewiadomych przyczyn wierzą, że znajomość z kimś popularnym ich samych opromieni sławą.

Jaz przypuszczała raczej, że to oszałamiający wygląd przyciąga ku niemu kobiety. Dała spokój jałowym rozważaniom. Postanowiła ignorować zabiegi głupiutkiej kokietki. Jakiegokolwiek przejawy zazdrości naraziłyby ją tylko na śmieszność. Beau wyraźnie zaznaczył, że funduje jej posiłek nie z powodu osobistego zainteresowania, tylko z dbałości o fizyczną kondycję pracownicy. Jednak wrodzona uczciwość kazała jej wyprowadzić go z błędu:

- Nie doceniasz własnej atrakcyjności. Sharon cię prowokuje, ponieważ wpadłeś jej w oko.

- Nawet mi coś takiego nie przyszło do głowy. - Delikatnie ujął Jaz pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie. Posłał jej drwiące spojrzenie.

Mimo że lubił sprawiać wrażenie pewnego siebie twardziela, Jaz wierzyła, że pod nieprzystępną maską ukrywa wrażliwą, ludzką twarz. W swoim programie zadawał gościom trudne pytania, bez skrępowań demaskował ich słabostki.

Przypuszczała jednak, że skrywa w sercu znacznie więcej życzliwości wobec świata, niż wskazywałby na to jego telewizyjny wizerunek. Przekonał ją o tym dotyk ciepłej dłoni na twarzy. Coraz bardziej go lubiła. Wino, do którego nie przywykła, zaczęło uderzać do głowy. Pełny żołądek, żar kominka, a przede wszystkim towarzystwo wyjątkowo atrakcyjnego mężczyzny wprowadziły ją w dobry nastrój.

Beau zajrzał jej głęboko w oczy.

- Powinienem zapytać na samym początku, czy nasze spotkanie nie zrani czyichś uczuć.

- Nie - wykrztusiła.

- A był kiedykolwiek ktoś taki?

Jaz energicznie pokręciła głową. Nie rozumiała, do czego zmierza. Usta Beau wykrzywił ironiczny grymas.

- To potwierdza moją tezę, że w Aberton brakuje mężczyzn z krwi i kości. Na przyjęciu u Madelaine przeważały kobiety. W dodatku te niezamężne, z gospodynią na czele, najwyraźniej nawet we mnie widziały doskonały materiał na męża.

Jaz uważała, że właściwie go oceniły. Natychmiast przegnała niestosowną myśl. Była wdzięczna, że ostrzegł ją w porę. Wiedziała już, jak dalej postępować. Jakakolwiek forma kokieterii zepchnęłyby ją do tej samej, tak bardzo pogardzanej kategorii, co inne wolne mieszkanki wioski. Żałowała tylko, że Beau nie polubił sympatycznej wdowy. Po ucieczce matki tylko ona jedna okazała Jaz życzliwość.

- Biedna Madelaine - westchnęła. - To przemiła osoba, nieprawdaż?

- Och, wyjątkowo - potwierdził piskliwym głosem, naśladowując sposób mówienia czterdziestopięcioletniej piękności. Uniósł szklanekę i szybko zmienił temat: - Faktycznie dają tu niezłe piwo.

Zaskoczona nagłym zakończeniem dyskusji Jaz szukała przyczyn jego niechęci. Odnosiła wrażenie, że Sharon również nie zaskarbiła sobie sympatii Beau. Prawdopodobnie wzmianka o kobietach szukających męża stanowiła zakamuflowane ostrzeżenie przed zaangażowaniem emocjonalnym. Albo też dawał Jaz do zrozumienia, że nie powinna obdarzać obydwu znajomych zbyt wielkim zaufaniem. Nagłe wtargnięcie Dennisa Davisa, jeszcze w kombinezonie roboczym, uniemożliwiło jej rozszyfrowanie sensu zagadkowych komentarzy. Nierzetelny fachowiec, rówieśnik jej ojca, pozdrowił ich z daleka tak głośno, że wszyscy konsumenci zwrócili głowy w ich kierunku. Szanse na to, że ktokolwiek przeoczył ich obecność w lokalu, zmaląła do zera. Jaz była pewna, że następnego dnia we wsi zahuczy od spekulacji, co też robiła córka Janie i Johna Loganów w towarzystwie znanego dziennikarza. Beau powitał przybysza zdawkowym skinieniem głowy.

- Wpadłem tylko na piwo w drodze z pracy - wyjaśnił nowo przybyły, bynajmniej nie zrażony chłodnym przyjęciem.

- Czyżby? - Beau uniósł brwi do góry. - Dwie godziny temu spakowałeś wszystkie narzędzia.

- Nie sposób pracować w ciemnościach na dachu - odparł robotnik. - Za to w środku pozostało jeszcze wiele do zrobienia.

Akurat we wnętrzu Jaz nie zauważyła najmniejszych nawet postępów. Doskonale wiedziała, że ledwie pracodawca zejdzie Dennisowi z oczu, wyrusza on w odwiedziny do pewnej mężatki z odległej o osiem kilometrów wioski. Najwyraźniej taki układ bardzo mu odpowiadał. Beau, zamieszkały w Aberton od niedawna, bez trudu odgadł, że to nie zapał do pracy powstrzymał robotnika przed wcześniejszym odwiedzeniem gospody.

- Nie będziemy cię zatrzymywać - podkreślił z naciskiem.  
- Miłego wypoczynku.

Dennis z ociąganiem odszedł w kierunku wolnego stolika. Gdy zostali sami. Jaz wyraziła obawę, że Dennis rozgłosi wszem i wobec nowinę o spotkaniu i doda własny, zgoła fałszywy komentarz.

- No i dobrze - skwitował Beau. - Mam nadzieję, że odstraszy ode mnie potencjalne kandydatki do małżeństwa.

Nieświadomie uraził uczucia Jaz. Nie żywiła wobec niego żadnych złudzeń, ale rola tarczy ochronnej nie przynosiła jej zaszczytu.

- Ładnie to pokazywać wielbicielkom plecy? - zażartowała, żeby ukryć przygnębienie.

- Prząd nie wygląda zbyt efektownie - przypomniał oschle.

- Jeżeli blizna uniemożliwia ci prowadzenie programu, pomyśl o operacji plastycznej.

- W niczym mi nie przeszkadza - odburknął gniewnie. - Jeżeli zjadłaś, proponuję, żebyśmy już poszli. - Odsunął talerz, wstał i ruszył ku drzwiom.

- Dziękuję za poczęstunek. Wrócę piechotą - zaproponowała.

- Wolne żarty!

- Aberton to nie Londyn. Nic mi tu nie grozi. - zapewniła.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi, ale chodziło mi o coś innego - powiedział.

- O co?

Bez słowa wyszedł na zewnątrz. Podążyła za nim. Żałowała z całego serca, że go uraziła. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów spędziła tak miły wieczór. Gorączkowo myślała, jak przywrócić pogodny nastrój. Beau dopiero na parkingu udzielił jej wyjaśnienia:

- Wyglądasz na wyczerpaną. Nie przeszłabyś nawet kilometra. Jeżeli porządnie nie wypoczniesz, nie skończysz porządków w ogrodzie przed upływem tygodnia.

Znowu to samo! Nadal wątpił w możliwości Jaz mimo wszystkich pochlebnych opinii, jakie usłyszał. Kolejny gest miłosierdzia nie poprawił jej humoru. Nie znosiła litości. Głośno wyraziła dezaprobatę wobec korzystania z dobroczynności. Zamiast odpowiedzi usłyszała wysoki głos Madelaine, która właśnie wysiadła ze swego jaguara:

- Jak miło cię widzieć, Beau! Ciebie, Jaz, również. Pójdziecie z nami na kolację? - zaproponowała z entuzjazmem. Błękitne oczy promieniały szczęściem.

- Już jedliśmy - mruknął Beau. Podszedł do Jaz i ujął ją pod ramię.

- Wielka szkoda. Może chociaż się czegoś napijemy? - nie dawała za wygraną.

Major wysiadł z samochodu i dołączył do towarzystwa. Poparł propozycję wdowy bez większego entuzjazmu. Chociaż sześćdziesięcioletni mężczyzna mieszkał w Aberton od dwudziestu lat, nikt nie potrafił powiedzieć, czy rzeczywiście służył w wojsku i w jakiej formacji. Zawsze nosił starannie odprasowane cywilne ubrania, do tego wojskowy krawat, związany ściśle pod szyją, jak nakazywał regulamin. Jego złotowłosa partnerka wyglądała w jasnym, jedwabnym kostiumie od dobrego projektanta jak porcelanowa laleczka. Jaz popatrzyła z odrazą na własne, znoszone ubranie.

- Nie możemy wam towarzyszyć. Obowiązki czekają - Beau odrzucił zaproszenie, nie pytając Jaz o zdanie.

- Jakże? - zainteresowała się Madelaine.

- W moim fachu zawsze jest coś do zrobienia na przedwczoraj - wtrąciła Jaz dość ogólnikowo, lecz zgodnie z

prawdą. - Może następnym razem - spróbowała zatuszować nieprzyjemny wydźwięk odmowy Beau.

- Oczywiście - podchwycił major radośnie. Jaz współczuła mu serdecznie. Z pewnością

liczył na romantyczny wieczór we dwoje z dwadzieścia lat młodszą wybranką. Od dawna zabiegał o jej względy bez widocznego rezultatu. Powabna, zamożna wdówka przyjmowała jego zaproszenia tylko wtedy, gdy okoliczności wymagały przybycia z osobą towarzyszącą. Traktowała sympatycznego, lecz nudnawego staruszka jak nieszkodliwego ramola. Jaz nawet ją rozumiała. Nie pasowali do siebie pod żadnym względem.

Madelaine pożegnała ich wylewnie. Stała na palcach i pocałowała nowego znajomego w policzek. Następnie powtórzyła tę samą procedurę wobec Jaz. Niedobrana pani znikła w drzwiach lokalu.

- Nie wiem, co mnie przeraża w tej kobiecie - wyznał Beau. - Niby ładna i sympatyczna, a ilekroć ją widzę, mam ochotę zwać gdzie pieprz rośnie.

- Tchórz! - zachichotała Jaz, potrząsając z niedowierzaniem głową. Intuicja mówiła jej, że zdradził swe prawdziwe odczucia.

- Święta prawda! - potwierdził. - Uciekłem na odludzie przed drapieżnymi Kobietami tylko po to, żeby mnie ścigały następne.

Wsiadli do samochodu. Beau zapalił silnik. Ruszyli w stronę domu Jaz. Zastanawiała się, jak Beau ją postrzega. Na pewno nie jak drapieżnika. Może nawet wcale nie widział w niej kobiety. Raczej dziewczynkę, młodszą siostrzyczkę, wymagającą opieki. I dobrze. Nie zagrażała jego niezależności. Rozbite małżeństwo rodziców podkopało jej wiarę w stałość związków małżeńskich. Po koszmarze, który przeżyła, nie ufała już nikomu. A jednak skrycie, w tajemnicy

przed sobą samą tęskniła za zachwyconym spojrzeniem mężczyzny. Po cichu żałowała, że Beau Garrett ani razu nie popatrzył na nią w ten sposób.

- A jednak czekają cię tu jakieś obowiązki - zagadnęła.

- Skądże! Wymyśliłem pierwszy lepszy pretekst, żeby spławić Dziwną Parę.

- Wcale nic są parą - zaprotestowała z wrodzonej uczciwości. Sądziła, że atrakcyjna wdowa wolałaby uchodzić za wolną w oczach tak znakomitego kandydata na męża, za jakiego uznała Beau.

- Madelaine to najsympatyczniejsza osoba, jaką znam. Uważa majora za nieszkodliwego dziwaka.

- Rozumiem. Łaskawie przyjmuje zaproszenia jedynie z dobroci serca.

- Twoja ironia graniczy z grubiaństwem. - Była oburzona, że urządza sobie kpiny z ludzi, których prawie nie zna.

Współczuła gościom jego programu. Krytycy chórem wychwalali „bezkompromisową postawę” redaktora Garretta. Jeden z dziennikarzy napisał nawet z zachwytem, że "wymusza zeznania." od najbardziej skrytych rozmówców, co oznaczało, że nie szanuje niczyich uczuć. Może zresztą nic wyrządzał im wielkiej krzywdy. Zwykle zapraszał silne, kontrowersyjne osobowości.

- Cóż, nigdy nic zabiegałem o niczyje względy

- wyznał bez cienia wstydu. - Widzę, że po dzisiejszym wieczorze uznałaś mnie za wyjątkowo zgryźliwego typu.

- Może nawet wcześniej - odparowała rozeźlona.

- W takim razie jeszcze jedna zniewaga nie zaszkodzi mojej reputacji - zadrwił.

Jaz czekała na kolejną złośliwą uwagę pod swoim lub cudzym adresem. Nic takiego nie nastąpiło. Beau przyciągnął ją do siebie i gwałtownie, namiętnie pocałował w usta. Czowała w tym momencie wszystko prócz urazy: zdumienie,

oczarowanie, słodczy, a przede wszystkim przyjemne ciepło w całym ciele. Całkowicie poddała się jego woli. Mogłaby tak trwać godzinami w stanie błogiego zawieszenia pomiędzy niebem a ziemią. Niestety Beau zupełnie nieoczekiwanie odchylił głowę. Odsunął ją od siebie delikatnym, lecz stanowczym ruchem. Westchnęła cichutko, rozczarowana.

- Twoje usta prowokują do pocałunków - powiedział jakby na usprawiedliwienie. Położył obie ręce na kierownicy. - A teraz zmykaj,' zanim przyjdzie mi do głowy coś jeszcze gorszego.

Jaz bez słowa wyszła z samochodu. Wskutek oszołomienia uczyniła to w wyjątkowo niezgrabny sposób. Pospieszyła ku drzwiom, nie obejrzawszy się za znikającym z nadmierną prędkością, samochodem.

Nie bardzo rozumiała, co ją spotkało. Doświadczonemu, przystojnemu gwiazdorowi z całą pewnością nie brakowało ciekawszych okazji do flirtu. Raczej nie próbował całować każdej napotkanej dziewczyny o wyzywających ustach. Czemu więc właśnie ją wybrał? Natychmiast odrzuciła najprostsze wyjaśnienie, że mu się spodobała. W przypadku tak złożonej osobowości logiczne rozumowanie prowadziło donikąd. Doszła tylko do jednego wniosku: lepiej unikać zbyt bliskich kontaktów z atrakcyjnym pracodawcą, inaczej czekają ją nieprzewidziane kłopoty.

Miała kompletny zamęt w głowie. Dopiero znacznie później, tuż przed zaśnięciem przypomniała sobie o złośliwym anonimie. Brakło jej sił, żeby wstać i go zniszczyć. Postanowiła zrobić to rano.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Około dwudziestej pierwszej gwałtowne pukanie do drzwi wyciągnęło Jaz spod prysznic. Pospiesznie narzuciła płaszcz kąpielowy, owinęła mokre włosy ręcznikiem. Zaniemówiła z wrażenia, gdy ujrzała na schodach Beau Garretta. Nie widziała go od poprzedniego wieczoru.

- Wytlumacz mi, co się z tobą dzieje? - zażądał od progu.

Jaz nie rozumiała, o co mu chodzi. O nieszczęsnym anonimie nie wiedział nikt prócz niej i nadawcy. Zniszczyła go z samego rana. Nierozwiązana zagadka oraz wspomnienie wieczornego pocałunku rozpraszały ją nieco podczas pracy, ale Beau nic widział ani jej roztargnienia, ani czerwonych z niewyspania oczu. Przebywał poza domem przez cały dzień. Kiedy przyjechała, nie zastała range - rovera na podjeździe. W chwili obecnej przeszkadzało jej jedynie, że pracodawca ogląda ją w ręczniku na głowie.

- Nie mam żadnych problemów poza niekompletnym strojem - wykrztusiła. - Wejdz, proszę. Poczekaj w salonie, aż się ubiorę.

Beau kiwnął głową na znak zgody. Nieufne spojrzenie wyraźnie mówiło, że nie wierzy jej słowom. Uważnie obejrzał niewielki hol, po czym podążył we wskazanym kierunku. Jaz popędziła na górę co sił w nogach. Dopiero gdy włożyła dżinsy i koszulę, odzyskała nieco pewności siebie. Nie do końca. Beau onieśmiał ją po wczorajszym pocałunku i późniejszej ucieczce jeszcze bardziej niż do tej pory. Od rana myślała, jak spojrzeć mu w oczy następnego dnia. Na jego widok zawsze brakowało jej tchu, a serce przyspieszało. Zebrała całą odwagę, żeby wrócić na dół.

Ciepły blask ognia nadawał skromnemu pokoikowi dość przytulny wygląd. Całe umeblowanie stanowiła sofa, jedno krzesło i stół, zavalony stertą czasopism ogrodniczych. Beau stał przy piecu. W zamyśleniu patrzył w ogień. Najwyraźniej

coś go dręczyło. Dopiero po kilku sekundach wyczuł obecność drugiej osoby. Odwrócił w jej kierunku zatroskaną twarz. Na widok gospodyni wydał westchnienie ulgi.

- Wygląda na to, że już lepiej się czujesz?

- O, tak - potwierdziła z rumieńcem na policzkach. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Tego typu pytania mogą cię wpędzić w kłopoty - zauważył z szelmowskim uśmiechem. Na widok niepewnej miny Jaz natychmiast spoważniał. - Na początek chciałbym cię prosić o wyjaśnienie paru kwestii. Co oznaczają niewybredne aluzje Dennisa Davisa pod twoim adresem? Czemu pani Scott tak wylewnie dziękowała mi, że zaopiekowałem się "nieszczęsną Jaz"? Dlaczego Betty Booth również składała mi wyrazy wdzięczności? I wreszcie dlaczego Madelaine Wilder wpadła do mnie „przejazdem”, żeby wyrazić ubolewanie, że nie dołączyliśmy do nich wczoraj? Przy okazji nie omieszkała nadmienić, że „biedna Jaz” powinna sobie jak najszybciej znaleźć odpowiedniego chłopca. - Wykrzywił usta w grymasie odrazy. Przez cały czas obserwował gospodynię spod w półprzymkniętych powiek. - Należy przypuszczać, że nie mnie miała na myśli - dorzucił na koniec i niewesołym uśmiechem.

Jaz pobladła. Wierzyła, że znajomi dobrze jej życzą, było jej przykro, że nawet przed nowo przybyłym nie ukrywają politowania. Zwilżyła językiem wyschnięte wargi. Zaproponowała mu coś gorącego do picia. Podobnie jak ojciec nie kupowała alkoholu, Czasami wypijała tylko szklaneczkę wina z przyjaciółmi.

- Poproszę o kawę. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

- Wzruszył ramionami, nic spuszczać wzroku z twarzy Jaz.

- Dzięki za komplement - mruknęła, rozdrażniona.

- Jeżeli łakniesz pochlebstw, trafiłaś pod niewłaściwy adres - odparł z chmurną miną.

Jaz wyszła do kuchni zagotować wodę, a przede wszystkim ochłonać po tym, co przed chwilą usłyszała. Drażniła ją niedyskrecja mieszkańców Aberton. Wiele już z jej powodu ucierpiała.

- Czy proboszcz i jego żona byli rodzicami twego taty czy mamy? - usłyszała od progu głos gościa.

Podszedł cicho jak kot, nie wiadomo kiedy. O mało nie wypuściła kubka z ręki. Odwróciła głowę. Potężna sylwetka niemal wypełniała całą wolną przestrzeń małej kuchenki.

- Mamy - odpowiedziała z ociąganiem. - Czemu pytasz?

- Ot tak, z ciekawości. Nie przypuszczałem, żeby syn duchownego wybrał sobie tak ciężki zawód - wyjaśnił bezbarwnym głosem.

Jaz pochwyciła badawcze spojrzenie szarych oczu. Nadal prowadził prywatne śledztwo. Absolutnie nie wyglądał na człowieka, usposobionego do swobodnej pogawędki. Zastanawiała się, jak zareagowałby na wieść, że jej matka zerwała z rodzinną tradycją w znacznie bardziej radykalny sposób. Roześmiała się niewesoło.

- Nie wszystkie dzieci idą w ślady rodziców - wyjaśniła dość ogólnikowo.

- Opowiedz, proszę, o swoim dzieciństwie. Ciekaw jestem, jak też duchowni wychowują dzieci i wnuki.

Jaz przeklinała jego dociekliwość. Dziecinne lata nie pozostawiły w jej pamięci miłych wspomnień.

- Straszliwa nuda, nie ma o czym mówić! Dziadkowie wymagali ode mnie doskonałości we wszystkich dziedzinach. A dzieciaki ze wsi nieustannie dokuczały układnej dziewczynce.

Nie dodała, że najwięcej przykrości doznała od długonogiej Sharon. Ponieważ rodzice byli nieustannie zajęci, często podrzucali córkę na plebanię. Spędzała tam każde wakacje i prawie wszystkie wolne dni w ciągu roku

szkolnego. Pastor i jego żona bardzo kochali jedyną wnuczkę. Dokładali wszelkich starań, żeby wychować ją na wartościowego człowieka. Niestety w najmniejszym stopniu nie rozumieli potrzeb dziecka. Jaz wspominała tamte czasy jak koszmarne sen.

Beau dostrzegł jej przygnębienie. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wyobrażam sobie, że nie było ci lekko.

- Mogłam trafić gorzej - zbyła słowa współczucia wzruszeniem ramion. Postawiła kubki i dzbanuszki na tacy. - Mógłbyś otworzyć mi drzwi? - poprosiła z pozornie bez troskim uśmiechem.

Spełnił jej prośbę z dziwnym błyskiem w oku. Weszli do niewielkiej jadalni.

- Jak tu przytulnie - pochwalił. - Szkoda, że nie kupiłem sobie starej wiejskiej chaty zamiast tego upiornego domostwa.

- Żałuj raczej, że nie zostałeś w Londynie. Nie pasujesz do tutejszego środowiska. - Wręczyła mu kubek z kawą, podsunęła dzbanuszek i cukiernicę, po czym usiadła w fotelu.

- Wyjaśnij, czemu zdecydowałeś się zamieszkać na wsi. Tylko bez żadnych wykrętów - ostrzegła. Robiła, co mogła, żeby zapomnieć o niewygodnych pytaniach, które ściągnęły go do jej domu o tak późnej porze.

Gość usiadł na sofie. Wlał sobie trochę śmietanki do kawy. Po cukier nie sięgnął. Bez pośpiechu upił łyk napoju. Szare oczy obserwowały Jaz z uwagą.

- Powiem prosto z mostu. - Zrobił efektowną pauzę. - Pilnij swojego nosa, Jaz. I wytłumacz wreszcie, w jaki sposób zasłużyłaś sobie na tyle współczucia, że przyjaciele traktują wspólny wypadek do knajpy jak akt miłosierdzia z mojej strony.

Jaz pojęła, że żadne wybiegi nie zamydlą oczu dociekliwego redaktora. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkańcy Aberton nadal patrzą na nią z politowaniem z

powodu pamiętnego skandalu sprzed lat. Wtedy też nie ułatwiali jej życia. Ucieczka matki i rozgłos z nią związany odebrały spokój jej samej, ojcu i dziadkom. Puściła w niepamięć dramatyczne wydarzenia tak szybko, jak jej na to pozwolono. Nie myślała o nich więcej aż do czasu, gdy przybysz z wielkiego świata uświadomił jej, że szeptów za plecami nigdy nie ucichły.

- Normalna rzecz. We wszystkich małych społecznościach ludzie wtykają nos w nie swoje sprawy. Wręcz uwielbiają dawać innym dobre rady. - Wyruszyła ramionami.

- Co wcale nie wyjaśnia, czemu Dennis Davis trącał mnie łokciem jak kompana od kielicha i wypowiadał niezbyt eleganckie uwagi.

Jaz o mało nie zemdląca. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Dennis nigdy nie ukrywał pogardy dla matki ani niechęci do córki. Z całą pewnością wierzył w prawdziwość porzekadła o dziedziczeniu cech charakteru. Czyżby znalazła autora anonimu? Przypomniała sobie, że Dennis posiada komputer. Nie stanowiło to żadnego dowodu. Prawie każdy we wsi miał, z wyjątkiem jej ornej. I prawie każdy traktował ją z równą nieufnością, po tym jak powszechnie uznano Janie Logan za kobietę upadłą, mężczyźni zaczęli czynić Jaz obraźliwe propozycje. Żaden młody człowiek nie wiązał z nią planów na przyszłość, natomiast wielu próbowało nawiązać romans. Z żelazną konsekwencją odprawiała natrętów, nie szcędząc ostrych słów. W końcu dali jej spokój. Co nie oznaczało, że zmienili zdanie.

- Och, Dennis uważa się za światowca. Ciebie też. Dlatego pozwolił sobie na odrobinę poufałości - zbagatelizowała sprawę.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Ty również, ale ja nie narzekam - wytknęła.

- Co cię interesuje? - zapytał Beau ze znudzoną miną.

Ponieważ Jaz tylko patrzyła na niego z urazą, poprawił się w fotelu, upił łyk kawy i rozpoczął opowieść takim tonem, jakby udzielał wywiadu namolnemu dziennikarzowi:

- Mam trzydzieści dziewięć lat. Jestem jedynakiem. Oboje rodzice żyją. Mieszkają w Surrey. Skończyłem szkołę z internatem w Winchester, a potem nauki polityczne na uniwersytecie w Cambridge. - Mówił powoli, rozwlekłe, z przerwami.

- Po studiach porzuciłem politykę dla dziennikarstwa. Od dwudziestu lat pracuję w telewizji, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć - zakończył.

Jaz w nieskończoność czekała na dalszy ciąg. Bez skutku. Oficjalny, zwięzły życiorys właściwie nie przybliżył jej postaci nowego znajomego. W końcu pojęła, że nic więcej nic usłyszy. Westchnęła z rezygnacją.

- Niewiele uzyskałam - podsumowała.

- Zdradź chociaż, czemu zamieszkałeś tak daleko od miejsca pracy.

- Nic pracuję w Londynie - uciał.

- Chyba nie przeniesiono studia telewizyjnego do innego miasta? - wypaliła bez zastanowienia.

- Znam cię wprawdzie od niedawna, ale nie posądzam o brak inteligencji - odparował.

Jaz poczerwieniała. W pełni zasłużona reprimenda zawierała ukryty komplement. Poczwała ciepło w okolicy serca. Przez jej głowę z zawrotną prędkością mknęły całe ławice sprzecznych myśli.

W końcu z tego zamętu wyłoniło się jedno straszliwe podejrzenie, które powstrzymało Jaz od dalszej indagacji:

Od chwili wypadku, to jest od czterech miesięcy, telewizja nie nadawała wywiadów Beau Garretta. On sam twierdził wprawdzie, że blizna na twarzy mu nie przeszkadza, co nie

oznaczało, że szefowie zaakceptowali naznaczony skazą wizerunek idola. Czyżby zwolnili utalentowanego dziennikarza z tak błahego powodu? Czy uważali widzów za bezduszny motłoch?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Beau odwrócił do światła zraniony policzek. Szrama wyglądała okropnie. Z czasem zblednie, pozostanie po niej ledwie widoczna, srebrzysta linia. Jaz wątpiła, czy dyrekcja studia telewizyjnego zechce czekać tak długo na zakończenie rekonwalescencji. Oburzało ją takie instrumentalne podejście do człowieka, a przede wszystkim traktowanie widowni jak zgrai nieczułych idiotów.

- No i co o tym myślisz?

Wzburzenie odebrało Jaz mowę, żal ścisnął za gardło. Nienawidziła bezwzględnego świata mediów. Jeżeli zwolniono ulubieńca publiczności tylko z powodu defektu urody, żadne słowa współczucia nie mogły zrekompensować mu straty. Jakikolwiek komentarz rozdrapałby tylko niezabliźnioną ranę w sercu. Bystre oko dziennikarza uważnie śledziło zmiany na jej twarzy. Nagle wstał.

- Chyba już pójdę. Przyznaję, że liczyłem na więcej szczerości z twojej strony - stwierdził z kwaśną miną.

Jaz odczuwała dokładnie takie samo rozczarowanie. Oficjalny życiorys nie pomógł jej rozszyfrować jego zagadkowej osobowości. Ona również wstała z fotela.

- Nie zaspokoiliam wprawdzie twojej ciekawości, ale miło mi, że mnie odwiedziłeś - zapewniła, ignorując równie cierpkie, co trafne spostrzeżenie.

- Wątpię. Wczorajsze pożegnanie nie wypadło zbyt elegancko. To z powodu trudności adaptacyjnych. Okropnie mi wstyd, że padłaś ofiarą moich frustracji - wyznał z pokorą.

Jaz nie żywiła do niego najmniejszej urazy. Natomiast wspomnienie o zakończeniu wieczornego wypadu nadal wprawiało ją w pewne zakłopotanie. Nie tak wielkie, jak początkowo przypuszczała. Spędziła bezsenną noc, a później przez cały dzień łamała sobie głowę, jak spojrzeć mu w oczy po tamtym pocałunku. Odetchnęła z ulgą, gdy wywnioskowała



z zachowania Beau, że nie przywiązuje do niego zbyt wielkiej wagi. Z drugiej strony żałowała, że nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- Nie ma sprawy. Co cię dręczy?

- Widzę, że żaden szczegół nie umknie twojej uwagi, panno Jasmino. Stanowisz fascynującą mieszankę inteligencji i niewinności...

- Zabraniam ci zwracać się do mnie w ten sposób! - wykrzyknęła.

Wyperswadowała wszystkim znajomym używanie pełnego imienia. Jego brzmienie przyprawiało ją o mdłości. Tylko jedna matka nigdy nie uszanowała jej woli. Kiedy ochłonęła, pożałowała, że przerwała tok myśli Beau w najciekawszym momencie. Chętnie poznałaby jego zdanie na swój temat. Wiedziała jednak, że bezpowrotnie zaprzepaściła szansę na chwilę szczerości. Gość odstawił kubek na tace, a następnie zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom. Przystanął z ręką na klamce. Odwrócił ku niej głowę.

- Jutro wyjeżdżam na weekend. Jeżeli czegoś potrzebujesz, powiedz mi teraz.

Pytanie, które w oczywisty sposób dotyczyło braków w zaopatrzeniu, wywołało w umyśle Jaz zgoła nieoczekiwane skojarzenia. Pomyślała, że w najbliższych dniach nie zabraknie jej niczego prócz towarzystwa Beau Garretta. Przywykła już do pogawędek w ogrodzie, niezapowiedzianych odwiedzin, polubiła nawet sprzeczki. Dawno wybaczyła mu zarówno szorstki sposób bycia, jak i niedyskretne pytania. Wniósł w jej szarą egzystencję ożywczy powiew nowości. I coś jeszcze: uczucie, którego wcale nie pragnęła. Wzmianka o wyjeździe uświadomiła jej, że będzie za nim tęsknić. Niewiele brakowało, a spytałaby, bynajmniej nie z pustej ciekawości, czy odwiedzi rodziców w Surrey, czy też kogoś innego. Niepokoiło ją, że przybysz z dalekiego świata zapadł w jej

serce tak głęboko w ciągu zaledwie kilku dni. Spostrzegła, że Beau zagląda jej głęboko w oczy. Czekał na odpowiedź. Przegnała niestosowne myśli. Wyprostowała plecy.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję - rzuciła wbrew sobie z beztroskim uśmiechem.

- Umiesz sprowadzić mężczyznę na ziemię - zauważył ze zjadliwą ironią. - W towarzystwie tych wszystkich pań polujących na męża woda sodowa mogłaby mi uderzyć do głowy. Przy tobie raczej mi to nie grozi.

Tym razem nie odgadł jej uczuć. Świadomość, że dobrze strzeże tajemnic swego serca, nie przyniosła Jaz satysfakcji. Czekwała na spotkania z Beau, wypatrywała za nim oczy, podczas gdy on widział w niej zaledwie małą, przekorną dziewczynkę. Pewnie jako jedynak marzył o młodszej siostrze. Wskazywały na to jego skłonności opiekuńcze. Nagle uderzyła ją nieoczekiwana zmiana w wyrazie twarzy gościa. Ze zdumieniem spostrzegła, że jego uwagę przykuł dywanik pod drzwiami. Podążyła za jego wzrokiem. Od razu dostrzegła biały prostokąt na ciemnym tle. Straszliwe przeczucie dosłownie ją sparaliżowało. Zanim wykonała jakikolwiek ruch, Beau podniósł interesujący go przedmiot.

- Co to? - spytała prawie szeptem, chociaż doskonale wiedziała.

- List - poinformował: - Od wyjątkowo ubogiego nadawcy. Nie stać go nawet na znaczek.

Ledwie dokończył zdanie, Jaz wyrwała mu kopertę z ręki.

- Mam nadzieję, że zawiera czek. Paru zleceniodawców zalegało z zapłatą - obwieściła przesadnie radosnym tonem.

Nie bardzo wierzyła w swój talent aktorski, ale uczyniłaby wszystko, żeby zapobiec dalszym pytaniom. Za żadne skarby nie zawierzyłaby mu swych trosk. Sądziła bowiem, że ktoś prześladowuje ją właśnie z powodu znajomości ze znanym dziennikarzem. Póki nie zaczęła dla niego pracować, nikt jej

nie dręczył. W dodatku wyglądało na to, że wspólny wypadek do restauracji sprowokował nieprzyjaciela do działania po kilku dniach względnego spokoju. Nie wyraziła głośno swych podejrzeń. Otworzyła drzwi, ignorując pytające spojrzenie.

- O, jak zimno! - wykrzyknęła, symulując dreszcze. - Sadzonki przemarzną! Trzeba włączyć ogrzewanie w szklarni! Nic zapowiadali ocieplenia. Uważaj na gołoledź podczas podróży - ostrzegła na koniec, gotowa ciągnąć konwersację o pogodzie do rana, byleby nie wrócił do niewygodnego pytania.

Beau uniósł głowę. Przez chwilę obserwował mknące po niebie ciemne chmury.

- Jakbym słyszał moją mamę - odburknął, wykrzywiając wargi.

- Trudno uznać takie stwierdzenie za komplement - zauważyła cierpko. - Ja przy tobie także raczej nie wpadnę w dumę.

Beau powoli uniósł rękę i pogłaskał Jaz po policzku. Nieoczekiwana pieszczota sprawiła jej wielką przyjemność, a równocześnie wprowadziła ją w zakłopotanie. Zwykle szorstki w obejściu mężczyzna patrzył na nią niemalże z czułością. Odruchowo oblizwała wargi koniuszkiem języka.

- Myślę, że powinnaś od czasu do czasu usłyszeć parę miłych słów. Widzę, że podejrzliwe spojrzenia połowy mieszkańców Aberton i wyrazy ubolewania ze strony pozostałych wpędziły cię w nie lada kompleksy... - Opuścił rękę, jakby nagle zrezygnował z zamiaru wypowiedzenia jakiejś niezwykle istotnej kwestii. - Skoro nie pomogłaś mi wyjaśnić przyczyny tego całego szumu wokół twojej osoby, sam ją odnajdę - zapewnił z naciskiem.

Jaz dosłownie zaniemówiła. Brakowało jej tchu. Oceniał sytuację z przenikliwością zawodowego psychologa po niecałym tygodniu pobytu w Aberton. Nie zamierzała

podawać mu klucza do rozwiązania zagadki. Zbyt słabo go znała. Nieszczęsny list niemalże parzył ją w palce. Marzyła o tym, żeby gość wreszcie sobie poszedł. Nad -

ludzkim wysiłkiem wydobyła głos ze ściśniętego gardła:

- Ponosi cię wyobraźnia, Beau. Zarówno Barbara, jak Madelaine czy Berty życzą mi jak najlepiej.

- I z tej wielkiej życzliwości rozgadują twoje sekrety nieznanym - skomentował z kwaśną miną. - Szkoda, że nie pomieszkałem trochę na wsi, zanim kupiłem tę rudere. Uważałem Londyn za siedlisko plotkarzy, ale w porównaniu z tym, co tu znalazłem, to istna oaza spokoju.

- Przesadzasz.

- Nawet przy maksimum dobrej woli trudno uznać komentarze Dennisa za przejaw serdeczności - przypomniał.

- Widzisz, Dennis Davis był najlepszym przyjacielem ojca. Cierpiał razem z nim, gdy mama nas opuściła.

- A ty nie?! Ładny mi przyjaciel! Zamiast wesprzeć cię w nieszczęściu, okazać odrobinę ciepła, cudowni sąsiedzi do reszty zrujnowali twoją psychikę. Podkopali twoją wiarę w siebie, okazując politowanie, zatruli życie uprzedzeniami! - wyrzucił z siebie cały gniew.

- Nic nie rozumiesz - zaprotestowała słabo, zaszokowana trafnością oceny.

Gdyby Beau znał całą historię, może wykazałby więcej tolerancji. Jednak wstyd nie pozwolił jej zdradzić najbardziej drastycznych szczegółów dramatu sprzed lat.

- Przede wszystkim nie pojmuję, czemu jeszcze tkwisz w tym gnieździe żmij. Rodzice nie żyją, dziadkowie też. Co cię tu trzyma?

Uczciwa odpowiedź brzmiała: nic prócz przyzwyczajenia. Przez całe życie nawet nie zaświtała jej myśl o zmianie miejsca zamieszkania. Nawet wśród swoich była zagubiona,

jakże odnalazłaby się w wielkim świecie, gdzie nic znała nikogo? Prócz niemałej wiedzy ogrodniczej nie posiadała żadnych praktycznych umiejętności, co wykluczało przeprowadzkę do miasta. Przypuszczała jednak, że żaden z tych argumentów nie przekona rozmówcy, podobnie jak stwierdzenie, że pozostanie w Aberton wymagało od niej więcej odwagi niż próba ucieczki. W oczach światowego człowieka przywiązanie do ojcowizny uchodziło z pewnością za pospolite tchórzostwo. Najchętniej pominęłaby drażliwą kwestię milczeniem. Beau nic zamierzał na to pozwolić:

- Stanowczo doradzam ci wyjazd.

Wyprowadził ją z równowagi. Natarczywe spojrzenie wyraźnie mówiło, że nie pozwoli na żadne uniki. Zastosowała najprostszą taktykę obronną: atak.

- Zbyt hojnie szafuje pan dobrymi radami, panie Garrett, jak na człowieka, który... - zamilkła, przerażona własną śmiałością.

- Nie potrafi odnaleźć własnej drogi, prawda? - dopytywał.

- Powiedziałabym raczej, że właśnie stoi na rozdrożu i jeszcze nie określił dalszych życiowych planów - sprostowała z ociąganiem. - To chyba logiczny wniosek. Wywiady redaktora Garretta znikły z programu cztery miesiące temu i nic nie zapowiada powrotu... - Urwała.

- Teraz rozumiem, czemu służyło to całe śledztwo W sprawie przyczyn mojego przyjazdu do Aberton. Przyjmij do wiadomości, że nie zamierzam zaspokajać ciekawości plotkarzy. Twojej również - oświadczył lodowatym tonem z zawziętym wyrazem twarzy. - Zmarzniesz - dodał, widząc, że drży.

Nie trzęsa się z zimna. To jego obecność wywoływała mimowolną reakcję mimo nieustannych nieporozumień.

- Szczęśliwej drogi - powiedziała łagodnie na pożegnanie.

- Miłego weekendu - odrzekł z ironicznym skinieniem głowy.

Kiedy Jaz została sama, pomyślała, że jego życzenia zabrzmiały jak drwina. Nadal trzymała w ręku drugi list, który dopiero czekał na otwarcie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jaz wpadła do Madelaine w drodze do domu. Przez cały dzień ciężko pracowała w ogrodzie przy Starej Plebanii. Przeżyła naprawdę wyjątkowo ciężki dzień. Unikała Dennisa Davisa jak ognia. Tęskniła za damskim towarzystwem. Jedynie Madelaine obdarzała pełnym zaufaniem. Podziwiała ją i szanowała. Przyjaciółka przybyła wraz z mężem do Aberton przed piętnastu laty. Pozostała tu na stałe po jego śmierci. Mieszkała w eleganckim, wypełnionym antykami domu. W oczach Jaz stanowiła uosobienie wdzięku i elegancji. Odznaczała się manierami szlachcianki, nienagannym wyglądem i drogimi, wytwornymi ubraniami. Stanowiła całkowite przeciwieństwo Jaz. Utrzymywała gosposię, która mieszkała u niej, gotowała i sprzątała. Przyjęła ją jak zwykle z wielkim entuzjazmem. Roboczy strój młodszej koleżanki wcale jej nie przeszkadzał. Poczęstowała ją filiżanką gorącego napoju. Jaz zdradziła jej, że rozważa możliwość zmiany miejsca zamieszkania:

- Tutaj nie wyżyję z ogrodnictwa. Bez przerwy tonę w długach. Od niepamiętnych czasów nikt mi nie zlecił projektu. Ted Soanes, przyszły mąż Sharon, wielokrotnie proponował, że odkupi moją ziemię, przylegającą do jego gruntów. Pragnie powiększyć i tak niemały areał - argumentowała. - Uważam, że to niezła idea. Sama na to nie wpadłam. Ktoś rozsądny podsunął mi ten pomysł. Madelaine podała jej z tacy ciastko z powidłami i śmietanką, upieczone przez nieocenioną gosposię. Popatrzyła na nią z figlarnym uśmiechem.

- Czy ten ktoś nie nazywa się przypadkiem Beau Garrett?

Jaz poczuła, że płoną jej policzki. O osobie doradcy wolą w tej chwili nie myśleć. Zdenerwował ją. Pouczał innych, jak powinni żyć, a sam po zwolnieniu z telewizji uciekł na wieś, zamiast żądać przywrócenia do pracy. Gdyby

nie ugryzła się w język w odpowiedniej chwili, rzuciłaby mu w twarz parę słów gorzkiej prawdy.

- Wygląda na to, że w ciągu ostatniego tygodnia bardzo się do siebie zbliżyliście - zauważyła Madelaine.

- Ależ skąd! Tylko dla niego pracuję.

- Moje drogie dziecko - zachichotała Madelaine. - Wieść o waszej wspólnej wyprawie do pubu obiegła już całą wioskę.

- Jeden posiłek o niczym nie świadczy - ucięła Jaz. Przemilczała, że pierwsze od niepamiętnych czasów spotkanie z mężczyzną znaczyło dla niej znacznie więcej, niż powinno. - Dzieli nas wszystko: pochodzenie, doświadczenie, różnica wieku - wyliczała cierpliwie. - Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby ktoś taki jak Beau Garrett mógł się mną zainteresować.

Madelaine kręciła głową z niedowierzaniem przez cały czas trwania przemówienia. Upiła maleńki łyk herbaty z delikatnej, porcelanowej filiżanki. Wyglądała bardzo pięknie w jedwabnym kostiumie koloru czekolady. Nosiła elegancką, prawdziwą biżuterię. Dwie siedzące naprzeciwko siebie kobiety wyglądały na wyjątkowo niedobraną parę, ale Jaz darzyła starszą przyjaciółkę bezgranicznym zaufaniem. Zdradziłaby jej nawet takie tajemnice, których nie powierzyłaby nikomu innemu.

- Nie doceniasz swoich walorów, kochana

- podsumowała Madelaine po chwili namysłu. Obrzuciła postać Jaz krytycznym spojrzeniem.

- Niepotrzebnie ukrywasz swoje atuty. Masz wspaniałe włosy, pięknie rzeźbione kości policzkowe. Dobra stylistka potrafi zdziałać cuda. Gdybyś zechciała, zabrałabym cię do Londynu do fryzjera, kosmetyczki, manikiurzystki. Odwiedziłybyśmy też parę niezłych butików.

Jaz popatrzyła z niesmakiem na swój obszerny kombinezon po ojcu, w wyjątkowo szkaradnym odcieniu zieleni. Zachodziła w głowę, skąd wytrzasnął takie



paskudztwo. Nawet gdyby mogła sobie pozwolić na lepsze stroje, oceniałaby swoje szanse u słynnego dziennikarza jako mizerne.

- Nie stać mnie na takie ekstrawagancje - u - cięła.

- Wkrótce są twoje urodziny.

- Nie, dziękuję - przerwała. - To nie w moim stylu. Czuję się, jakbym przyoblekła cudzą skórę - wyjaśniła ze śmiechem. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić zmienionego wizerunku. Obca jej była wszelka próżność. - Przyszłam do ciebie, żeby przedyskutować znacznie ważniejszą kwestię ewentualnego wyjazdu.

Starsza przyjaciółka przez kilka sekund rozważała jej słowa.

- Brzmi bardzo kusząco. - Patrzyła na Jaz badawczo spod zmarszczonych brwi. - Co cię do tego skłania? Czy coś się stało?

Jaz zeszywniała. Robiła, co mogła, żeby nie okazać wzburzenia. Przemilczała sprawę anonimowych listów. Po otrzymaniu drugiego dowodu na istnienie ukrytego wroga zaczęła na serio rozważać pomysł wyjazdu. Otworzyła kopertę poprzedniego wieczoru, gdy tylko jego samochód znikł za zakrętem. Zawierała jeszcze gorsze słowa niż pierwsza:

Poszukaj sobie własnego mężczyzny zamiast zabierać cudzego jak twoja matka.

To jedno zdanie zdumiało ją i przeraziło. Nie ulegało wątpliwości, że autor czy też raczej autorka złym okiem patrzy na jej znajomość z Beau. Nikogo innego nie mogło to dotyczyć. Od lat nie spotykała się z żadnym mężczyzną. Podejrzenie, że żona lub narzeczona próbuje ją od niego odstraszyć, doprowadziło Jaz do rozpacz. Kiedy trochę ochłonęła, przypomniała sobie jego sceptyczny stosunek do stałych związków. Po namyśle uznała, że gdyby był żonaty lub zaręczony, rozgłosiłby tę informację wszem i wobec, żeby

ewentualne wielbicielki dały mu spokój. W takim razie nadawca bezpodstawnie oskarżał ją o nakłanianie do zdrady. Tylko uwaga o matce odpowiadała prawdzie. Nie zdradziła swego sekretu Madelaine.

- Dyskusja na temat ewentualnej przeprowadzki rozbudziła we mnie potrzebę odmiany - zapewniła z udawanym entuzjazmem. - Zapachniało mi wielką przygodą. Zapragnęłam poznać nowych ludzi, podjąć nowe wyzwania. Nie rozumiem, czemu wcześniej nie przyszło mi coś takiego do głowy. Z dala od rodzinnych stron szybko zapomniałabym o dramacie z przeszłości.

Wdowa patrzyła na nią ciepło, ze zrozumieniem. Mieszkała w Aberton dość długo, żeby wiedzieć, przez jakie piekło przeszła młodsza koleżanka. Skinęła poważnie głową.

- Ładnie powiedziane. Ta sama tęsknota skłoniła mnie kiedyś do wyprowadzki z Londynu. Polubiłam waszą wioskę. Nie potrafiłabym już mieszkać gdzie indziej. Ale ja wyjechałam wraz z mężem i sporym zasobem gotówki, co ułatwiło mi nowy start. Tobie nie będzie tak łatwo. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób zarobiłabyś gdzie indziej na życie.

- Pieniądze ze sprzedaży ziemi i domu wystarczą mi na kupno skromnej chatki. Pójdę do pracy w czyimś przedsiębiorstwie ogrodniczym. Zdecydowanie wolałabym regularną pensję od ciągłego zabiegania o klientów.

- Zaplanowałaś wszystko łącznic z najdrobniejszymi szczegółami - pochwaliła Madelaine. - Nie znalazłam w twoim rozumowaniu żadnych mankamentów. Nie bierzesz tylko pod uwagę, jak bardzo dokucza samotność w obcym miejscu. Przyznam, że gdybyś wyjechała, bardzo by mi cię brakowało - zakończyła ze smutkiem.

Jaz czuła to samo. Prócz tej wieloletniej przyjaźni nic właściwie nie trzymało jej w Aberton. A omawiany plan na

przyszłe życie powstał w jej głowie dopiero w trakcie rozmowy z życzliwą wdową.

- Czy znajomość z Beau Garrettem w jakiś sposób zaważyła na twojej decyzji?

- Absolutnie nie! - wykrzyknęła Jaz. Pochwyciwszy urażone spojrzenie Madelaine, dodała już łagodniej: - On mnie tylko wynajął. Sądzę, że po wykonaniu zlecenia więcej go nie ujrzę na oczy.

- Pożyjemy, zobaczymy - mruknęła starsza z kobiet z zagadkowym uśmiechem.

Jaz nie oponowała, ale też nie zmieniła zdania. Wciąż żywiła urazę do wścibskiego dziennikarza. Rodowity londyńczyk wykazywał większą skłonność do ingerowania w cudze życie niż wszystkie wiejskie plotkary razem wzięte. Przysięgła sobie, że więcej nie pozwoli mu wykroczyć poza ramy stosunków służbowych.

W sobotę rano Madelaine zadzwoniła do Jaz z zaproszeniem na kolację. Urządzała małe przyjęcie na cześć gości z Londynu. Wykorzystywała każdą okazję do spotkań towarzyskich. Jaz przyjęła propozycję z wielkim entuzjazmem. Pracowała ostatnio tak ciężko, że wieczorem brakowało sił na gotowanie. Gościnność Madelaine uwolniła ją od dodatkowego obowiązku. Poleżała sobie dłużej w wannie. Później bez pośpiechu wyjęte z szafy małą czarną sukienkę, tę samą, którą włożyła poprzednio. Kupiła ją podczas studiów. W prostym fasonie do kolan, z krótkimi rękawami, odpowiednim na każdą okazję, wyglądała korzystnie. Zresztą innej nie miała. Świeżo umyte włosy spływały obfitymi falami na plecy. Ledwie nałożyła błyszczący na usta, ktoś zadzwonił do drzwi. Na widok Beau Garretta zaniemówiła z wrażenia. W wycięciu jesionki dostrzegła klapy wieczorowej marynarki, kołnierzyk białej koszuli i

muszkę. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Dostrzegła aprobatę w szarych oczach.

- Gotowa? Madelaine już pewnie na nas czeka. Jaz zmarszczyła brwi.

- Twierdziłeś, że wyjeżdżasz na weekend - wykrztusiła, nadal ogromnie zaskoczona. Spodziewała się zastać londyńskich przyjaciół gospodyni, może jeszcze parę osób z sąsiedztwa, ale na pewno nic jego.

- Właśnie wróciłem - oznajmił. - Madelaine prosiła, żebym po ciebie wpadł. Znów zapowiadają mróz i śnieg. Nie potrzeba nam dwóch samochodów, skoro jedziemy w to samo miejsce.

Ani opady, ani przenikliwe zimno, ani kwestia zużycia paliwa nie martwiły Jaz w tej chwili. Coś znacznie ważniejszego zaprzętało jej myśli. Wszystko wskazywało na to, że wdowa próbuje ich wyswatać. Nigdy wcześniej nie wykazywała tego rodzaju upodobań.

- Chodźmy - poprosił Beau - zdążyłem już zmarznąć.

Dopiero teraz Jaz spostrzegła, że zaciera zziębnięte dłonie. Zawstydziała się, że tak długo trzymała gościa za drzwiami. Poprosiła go do środka. Wyjęła z szafy palto do kostek w odcieniu krwistej czerwieni. Kupiła je kiedyś pod wpływem impulsu i prawie natychmiast przestała lubić. W domu przed lustrem stwierdziła, że przypomina przebranie Świętego Mikołaja. Beau był innego zdania:

- Ładnie ci w czerwonym.

Jaz ukradkiem sprawdziła, czy nie żartuje. Dopiero potem podziękowała. Nie zdołała ukryć zażenowania. Beau pochwycił jej nieufne spojrzenie. Przytrzymał dla niej drzwi.

- Większość kobiet reaguje uśmiechem na komplementy. Tobie najwyraźniej nie sprawiają przyjemności - zauważył ze smutkiem. - Wytłumacz mi, dlaczego.

- Nigdy nie wiem, ile prawdy zawierają, zwłaszcza gdy ty je wypowiadasz - mruknęła.

- Czemu nie wierzysz w siebie? - dopytywał natarczywie.

- Późno już, dawno powinniśmy wyjechać - zignorowała pytanie.

Ledwie zaczęła mówić, Beau delikatnie ujął jej twarz w dłonie i obrócił ku sobie. Blask księżyca oświetlał chmurne oblicze ze zmarszczonymi brwiami. Patrzył jej w oczy intensywnie, głęboko, jakby zaglądał w głąb duszy. Spróbowała odtrącić jego dłoń i odwrócić głowę. Działał na nią zbyt silnie. Wyglądał oszalamiająco, jak przystało na prawdziwego gwiazdora. I pachniał tak bosko, że brakowało jej tchu. Czowała, jak jej serce tłucze się o żebra.

- Dziesięć minut w tę czy we w tę nie robi żadnej różnicy. - Jego oczy zwęziły się w szparki.

- Nie ukryjesz przede mną, że coś z tobą nie jest w porządku.

Jaz tylko machnęła lekceważąco ręką.

- Czemu wszyscy zadają mi ostatnio tyle kłopotliwych pytań? - westchnęła ciężko.

- Nie wszyscy, tylko osoby, którym zależy na twoim szczęściu, czyli ja i Madelaine. Nikogo innego twój los nie obchodzi - sprostował.

Jaz poczuła, że płoną jej policzki.

- Nie masz prawa... - zaczęła.

Nie zdążyła dokończyć protestu. Zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Jej ciało zmiękło, wola też. Przez ostatnich pięć dni przysięgała sobie, że nie pozwoli temu wścibskiemu, aroganckiemu mężczyźnie na żadne poufałości. Mogła sobie do woli wmawiać, że go nie lubi. Wystarczyło jedno dotknięcie, żeby zapomniała nie tylko o wszystkich pretensjach, ale i o całym świecie. Objął ją mocno ramionami i całował do utraty tchu. Chłoneła ciepło jego ciała i smak

cudownych, gorących ust. Rozpalił krew w jej żyłach. Pragnęła go do szaleństwa. Nagle zaprzestał czułości. Odsunął Jaz na odległość ramienia. W szarych, badawczych oczach migotało światło księżyca.

- Czy ktokolwiek w życiu ofiarował ci choć trochę ciepła?

Jaz pobladła. Zesztywniała, jakby wymierzył jej policzek. Bez słowa patrzyła na niego w osłupieniu ogromnymi, niebieskimi oczami. Czar prysł. Ze wzburzenia brakowało jej tchu. Upokorzył ją. Pocałował z litości! Nie tego pragnęła. Odepchnęła jego rękę. Odstąpiła krok do tyłu. Ciasno owinęła poły płaszcza wokół talii.

- Zbyt łatwo wydajesz sądy o innych. Parę dni znajomości nie upoważnia cię do wyciągania tak daleko idących wniosków. I nie życzę sobie więcej żadnych pocałunków - dodała lodowatym tonem. Ból rozsadzał jej serce.

- A co zrobisz, jeżeli nie zdołam odeprzeć pokusy?

- Radzę ci wyrobić w sobie siłę woli - odburknęła z gniewnym błyskiem w oku.

Beau patrzył jej w oczy jeszcze przez kilka długich sekund bez śladu zmieszania.

- Ostrzegam, że jeśli mnie sprowokujesz, nie ręczę za siebie - oświadczył z rozbawieniem.

Nie miała takiego zamiaru. Beau otworzył drzwi samochodu. Wsiedli do środka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jaz i Beau oddali płaszcze wynajętej pokojówce. Wkroczyli do wytwornego salonu.

- Beau, kochanie! - Smukła blondynka podbiegła w obłoku drogich perfum do upatrzonego mężczyzny. Po drodze o mało nie wywróciła Jaz.

Wyciągnął ku niej ramiona. Zbyt chętnie, zdaniem Jaz. Piękność wydała jeszcze jeden okrzyk zachwytu, po czym przyssała się do ust Beau. Jaz cierpiała męki zazdrości. Wbrew wcześniejszym postanowieniom nie stać jej było na obojętność.

- Camilla! - zawołał Beau, gdy wreszcie zalotnica uwolniła go z uścisku. Zabrzmiało to dość chłodno.

- Ta sama i jedyna! - zapewniła Camilla żarliwie. Posłała mu słodki uśmiech.

Beau nie okazywał ani śladu niechęci czy zażenowania. Odwzajemniał uśmiechy i spojrzenia, jakby zupełnie zapomniał, z kim przyszedł. Jaz przypomniawszy mu o tym w dość obcesowy sposób. Wyciągnęła z torebki chusteczkę higieniczną.

- Zetrzyj to. Nie do twarzy ci ze szminką na ustach.

Zanim Beau zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Camilla z chichotem wyrwała chusteczkę z ręki oszołomionej Jaz. Wycierała mu usta długo, czule, jak kochająca żona. Nie ulegało wątpliwości, że tych dwoje łączy bliska zażyłość. Jaz do reszty zważyła w swoje szanse. Zrezygnowała z walki. Dołączyła do jakiejś pary, wychodzącej do drugiego pokoju. Szła sztywno, z nieprzytomnym spojrzeniem, nieobecna duchem. Nigdy wcześniej nic doznała zazdrości. Odczuwała gniew, urazę, ból, niesmak, a przede wszystkim złość na siebie, że uległa czarowi mężczyzny, najwyraźniej zainteresowanego inną. Nie zapomniawszy tak jak Beau o niedawnym pocałunku. Palił ją wstyd, że nie oparła się

arogantowi, który tyle razy doprowadził ją do pasji. W końcu przestała robić sobie wyrzuty. Trudno wymagać siły woli od zakochanej kobiety - stwierdziła. Ostatnia myśl nieomal ścięła ją z nóg. Przystanąła w miejscu. Co mi przyszło do głowy? - pytała samą siebie. - Chyba straciłam rozum.

- Witaj, Jaz? - Madelaine Wilder podbiegła do niej z uśmiechem. Zgasł na jej ustach, gdy ujrzała Beau, wchodzącego do salonu w towarzystwie Camilli. - Tak mi przykro! - jęknęła, spoglądając na pogrążoną w rozmowie parę. Pokręciła głową z dezaprobatą. - Wygląda na to, że nieprędko wypuści go ze swych szponów. Kiedy zapowiedziałam wasze przybycie, nawet słowem nie wspomniała, że go zna.

Jaz ani razu nie spojrzała w tamtą stronę. Przeniosła wzrok na pozostałych ośmiu czy dziewięciu gości.

- Wiem, czemu prosiłaś, żeby Beau mnie podwiózł. Doceniam twoje dobre intencje, ale zapewniam cię, że błędnie oceniłaś sytuację - oznajmiła rzeczowym tonem. Z wysiłkiem odwróciła głowę w kierunku tamtych dwojga. - Teraz zobaczyłaś na własne oczy, jakie kobiety preferuje Beau. Naprawdę nie pasujemy do siebie pod żadnym względem. Brakuje mi odpowiedniej klasy.

- Nie doceniasz go. Jestem pewna, że próżne laleczki nudzą go tak szybko, jak mnie - pocieszała przyjaciółka. Poklepała Jaz po ramieniu.

Nie przekonała jej. Jaz jeszcze raz rzuciła okiem na Camillę. Westchnęła ciężko na widok śmiałej wersji „małej czarnej” bez ramiączek, ciasno opinającej smukłe kształty rywalki. Skromniutka sukienka Jaz wyglądała w porównaniu z nią jak habit.

- Nic nie szkodzi, pozostało nam wiele czasu - stwierdziła zagadkowo Madelaine. - Chodźmy lepiej pogadać z Boothami.



- Pociągnęła Jaz w pobliże kominka, gdzie pastor i jego młoda żona gawędzili z dwojgiem ludzi.

Jaz odetchnęła z ulgą. Ochoczo ruszyła we wskazanym kierunku. Zawsze lubiła tę pozornie niedobraną parę. Poważny, dystygowany Robert miał około czterdziestu lat. Betty, zaledwie rok starsza od Jaz, sprawiała wrażenie roztrzepanej trzpiotki. W rzeczywistości wspierała męża, wzorowo prowadziła księgi i dbała o prawidłową organizację zajęć w parafii. Gospodyni opuściła towarzystwo po krótkiej wymianie uprzejmości, żeby powitać nowo przybyłe osoby. Betty wychwalała pod niebiosa jej gościnność. Cieszyła ją każda okazja do ucieczki od codziennej rutyny. Jaz, wnuczka pastora, doskonale wiedziała, jak pracowitym dniem bywa sobota dla duchownych. Robert Booth jak zwykle zachował powściągliwość, lecz jego promienne spojrzenie wyraźnie mówiło, że chętnie skorzystał z zaproszenia, żeby sprawić żonie przyjemność.

- Obydwie zasłużyliśmy na odpoczynek - stwierdziła Jaz z uśmiechem. - Ja też nie próżnowałam przy sobocie.

- Dobrze wiedzieć - usłyszała za plecami głos Beau. - Przyniosłem ci szampana.

Jaz odwróciła głowę. Ze zdumieniem stwierdziła, że przyszedł sam. Zastanawiała się, gdzie podział piękną blondynkę. Pochwycił jej pytające spojrzenie.

- Camilla dołączyła do narzeczonego - oznajmił zwięźle z drwiącym uśmiechem.

Jaz współczuła nieznajomemu z całego serca.

Wyobrażała sobie, że czuł to samo co ona, patrząc, jak ukochana wisi na innym mężczyźnie.

- Przykro mi, że uciekłaś. Może jestem nieco staroświecki, ale nie lubię, jak partnerka opuszcza mnie zaraz po rozpoczęciu przyjęcia.

Robert i Betty natychmiast poparli stanowisko Beau. Nie pozostało jej nic innego, jak przeprosić za nietakt, którego nie popełniła, żeby nie wzbudzać sensacji. Beau zignorował jej gniewne spojrzenie.

- Wybaczam. Spróbuj szampana. Wyśmienity! - Podał jej kieliszek. W szarych oczach migotały figlarne iskierki.

Jaz upiła łyk, żeby zająć usta. Gdyby nie obecność pastora, w dosadny sposób wyraziłaby oburzenie. Zapadła kłopotliwa cisza. Na szczęście krótkotrwała. Sympatyczna Betty nie potrafiła długo milczeć. Pochwaliła potrawy, talenty kulinarne gosposi i od razu przywróciła pogodny nastrój. Jaz popatrzyła po zebranych. W salonie przebywało około dwunastu osób, przeważnie przyjaciół gospodyni z Londynu. Nie zauważyła wśród nich majora. Madelaine zawołała Roberta, żeby przedstawić mu nowo przybyłych gości. Przeprosił i pospieszył w jej kierunku wraz z małżonką. Kiedy tylko znikli im z oczu. Jaz zwróciła chmurne oblicze na towarzysza.

- Z tą partnerką to trochę przesadziłeś.

- Wcale nie. Zostaliśmy razem zaproszeni.

Zobaczysz, że Madelaine usadzi nas koło siebie przy stole. Niech Bóg błogosławi złote serce naszej kochanej swatki - zakończył.

Jaz za nic nie wyraziłaby głośno własnych odczuć. Nie czuła wdzięczności. Nie chciała rozbudzać w sobie próżnej nadziei, ponieważ nie wierzyła, że kiedykolwiek zostaną prawdziwą parą.

- To, że mnie podwiozłeś, nie zobowiązuje cię do spędzenia ze mną całego wieczoru - zaprotestowała. Próbowwała w ten sposób dyskretnie wysondować jego nastawienie.

- Za to ciebie brak samochodu zmusza do pilnowania kierowcy - przypomniał z niewinną miną.

Zabawna uwaga nie powstrzymała Jaz od dalszego dociekania prawdy:

- Nie uważasz, że to trochę krępujące?

- Potwornie? - potwierdził z kamienną twarzą. - Jednak ponieważ nie mam ochoty na inne towarzystwo, musisz jakoś wytrwać do końca.

Wściekle spojrzenia pozostałych kobiet wyraż - nie mówiły, że każda chętnie by ją zastąpiła. Jaz również wolałaby zwrócić mu wolność. Obawiała się, że po kilku dalszych godzinach przebywania w jego pobliżu wpadnie z kretelem. Już straciła dla niego głowę. Zatopiona w niewesołych rozważaniach zbyt późno spostrzegła, że Beau coś do niej mówi. Patrzył natarczywie w oczy, jakby próbował odgadnąć jej myśli. Odwróciła głowę. Udawała, że obserwuje zebranych, żeby ukryć roztargnienie. Prócz trojga miejscowych wszystkie osoby pochodziły z zewnątrz. Pośród wytwornych mężczyzn i pięknych kobiet rozpoznała kilka twarzy z telewizji.

- Często bywasz na takich przyjęciach?

- Nie, od kilku tygodni ani w jednym nie uczestniczyłem.

To znaczy od momentu przeprowadzki do Aberton - skomentowała w myślach.

- W Londynie również unikałem dużych zgromadzeń - rozproszył wszelkie wątpliwości z przenikliwością jasnowidza.

- Trudno w to uwierzyć - mruknęła.

W małej wiosce tego typu okazje trafiały się bardzo rzadko. Przypuszczała jednak, że nawiązywanie kontaktów w odpowiednich kręgach należy do nieformalnych obowiązków związanych z telewizją osób.

- Gdyby Madelaine nie poinformowała mnie, że ciebie również zaprosiła, najchętniej zostałbym w domu.

Jaz usłyszała jakąś dziwną nutę w jego głosie, ale nie potrafiła nic wyczytać z wyrazu twarzy.

- Co za różnica, jedna osoba mniej czy więcej? -  
Usiłowała nadać głosowi obojętny ton. Nie bardzo jej to wyszło.

Musiał dostrzec zdumienie i zachwyt w jej oczach. Ostatnie zdanie zabrzmiało niemalże jak deklaracja, o jakiej nie śmiała nawet marzyć. Z wrażenia zabrakło jej tchu. Uznała, że szampan uderzył jej do głowy. Postanowiła raz na zawsze porzucić romantyczne rojenia. Skromna ogrodniczka nie mogła liczyć na jakiegokolwiek uczucie prócz litości ze strony tak fascynującego mężczyzny z wyższych sfer. A tego sobie zdecydowanie nie życzyła. Madelaine obwieściła właśnie, że podano do stołu. Jaz szybko skorzystała z okazji.

- Cofam ostatnie pytanie - rzuciła pośpiesznie.

Odstawiła kieliszek na gzyms kominka. Przysięgła sobie, że nie tknie więcej alkoholu. W towarzystwie obiektu pożądania wszystkich kobiet zdecydowanie potrzebowała trzeźwego umysłu. Ruszyła w kierunku jadalni tak szybko, jakby gnał ją straszliwy głód.

Beau zatrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu.

- Ja o nim nie zapomnę. Wrócimy jeszcze do tej kwestii.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W drodze powrotnej Beau zwrócił Jaz uwagę, że przez cały czas przygryza wargi. Zignorowała napomnienie. Gdyby nie trzymała języka za zębami, wypaliłaby mu w oczy parę słów gorzkiej prawdy. Nawet przy maksimum dobrej woli nie zaliczyłaby imprezy do udanych. Tak jak przewidywał Beau, gospodyni posadziła ich obok siebie. Najgorsze, że miejsce u jego drugiego boku wyznaczyła Camilli. Zaborcza piękność przez cały wieczór zawracała mu głowę. Dawała do zrozumienia, że nie zamierza dzielić zainteresowania ulubieńca z prostą, wiejską dziewczyną, za jaką bez wątpienia uważała Jaz. Kokietowała Beau otwarcie, ignorując przy tym własnego towarzysza. Jaz serdecznie mu współczuła.

- Jesteś pewien, że Camilla i Gerald stanowią parę?

- Poniekąd. Camilla odgrywa rolę zasłony dymnej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Czy to znaczy, że on woli...? - zaczęła niepewnie.

- Właśnie - potwierdził jej podejrzenia. - Jego ojciec jest prezesem telewizji Barnet. Nie pochwaliby upodobań syna. Na szczęście nic o nich nie wie. Za to często ostatnio wyrażał niepokój, że Gerald nic dąży do zmiany stanu cywilnego. Żeby odsunąć od siebie podejrzenia, nasz przedsiębiorczy młody człowiek znalazł sobie sympatię. Żeńską - dodał, żeby rozproszyć ewentualne wątpliwości. - Co nie znaczy, że wykorzystuje Camillę. Jej ten układ również ze wszech miar odpowiada. Jaz otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Sama nigdy by nie odgadła preferencji Geralda. Zamieniła z nim zaledwie kilka słów. Nie dostrzegła niechęci do kobiet. Wywarł na niej bardzo korzystne wrażenie.

- Czyżby Camilla również odczuwała pociąg do własnej płci? - spytała, całkowicie 2bita z tropu.

- Co to, to nie! - zachichotał Beau. - Camilla jest bardzo ambitną młodą damą. A Gerald, podobnie jak tata, ma

doskonale układy w świecie filmu i telewizji. Dlatego Camilla chętnie pełni obowiązki oficjalnej, tymczasowej narzeczonej.

- W zamian za konkretne usługi - dokończyła Jaz z odrazą. - Nie bulwersuje mnie niczyja orientacja seksualna, natomiast takie handlowe podejście do człowieka uważam za wyjątkowo bezduszne - oświadczyła, nie kryjąc dezaprobaty.

Uświadomiła sobie, że niepotrzebnie zmarnowała wieczór. Szalała z zazdrości z powodu kobiety, która traktowała mężczyzn jak kolejne stopnie na drodze do kariery. Niewykluczone, że w tym samym celu uwodziła Beau.

- Szkoda, że traciła na mnie czas - stwierdził Beau ponuro.

Jaz usiłowała rozszyfrować sens ostatniego zdania. Albo nie był zainteresowany wyrachowaną pięknnością albo też... Nic dokończyła myśli. Beau zrobił to za nią:

- Nie należę już do tego światka, jak trafnie odgadłaś.

Tyle to i ona wiedziała. Cóż z tego? Nadal nie rozstrzygnął wątpliwości, czy odszedł z własnej woli, czy też zwolniono go z powodu oszpeceń. Na podstawie poprzednich rozmów oraz niezwyklej wprost drażliwości Beau przyjmowała raczej tę drugą ewentualność.

Posłał jej pytające spojrzenie.

- Madelaine zwróciła mi dzisiaj uwagę, że „namieszałem w głowie młodej dziewczynie”. Nie wiesz przypadkiem, o co jej chodziło?

Jaz wpadła w panikę. Nabrała przekonania, że serdeczna przyjaciółka w najlepszej wierze poprosiła Beau, żeby nie igrał z jej uczuciami. Co za wstyd! Odebrało jej mowę. Siedziała jak skamieniała bez słowa przez co najmniej kilka sekund. Zanim ochłoneła, Beau uściślił informację:

- Najpierw zarzucasz mi brak dyskrecji, a potem rozpowiadasz, że namawiałem cię na wyjazd - wypomniał z urazą w głosie.

- Raczej dokuczałeś mi, że tkwię bez sensu w jednym miejscu - odparła z równą niechęcią.

- Nie obgadywałam cię. Rozwazałam tylko twoją sugestię.

- I do jakich wniosków doszłaś?

- Uznałam twoje argumenty, ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Pilnie strzeżesz swoich tajemnic. Łatwiej usłyszeć, jak trawa rośnie, niż wyciągnąć cię na zwierzenia - mruknął.

- O tej porze roku rośnie wyjątkowo cicho

- odpowiedziała żartem.

- Stanowisz dla mnie wieczną zagadkę. Nie grozi mi przy tobie nuda - oznajmił z szelmowskim uśmiechem.

- Miło mi, że przynajmniej dostarczam ci rozrywki - skwitowała cierpko.

Ukryta w słowach przygany pochwała sprawiła jej większą przyjemność, niż chciała przyznać.

- Zaprosz mnie na kawę - poprosił Beau.

Jaz spojrzała przez przednią szybę. Nawet nie zauważyła, kiedy podjechali pod dom. Odwróciła głowę w kierunku towarzysza. Siedział sztywno wyprostowany. Patrzył na nią wyczekująco. Wprawił ją w zakłopotanie. Nic wiedziała, co robić. Ostatnio kończyli każde spotkanie pocałunkiem. Co jej wcale nie przeszkadzało. Lubiła, kiedy ją całował, aż za bardzo. Obawiała się tylko, jak skończy się to nocne spotkanie, jeżeli w ogóle się skończy.

- No, zaryzykuj, pozwól mi wpaść na chwilę - zachęcał Beau.

Akurat ryzyko wcale jej nie pociągało po otrzymaniu dwóch anonimowych listów. Spróbowała wymówić się późną porą, zmęczeniem, wreszcie odłożyć zaproszenie na poniedziałek. Bez skutku. Beau nalegał nieustannie, z żelazną konsekwencją zbijał wszystkie kontrargumenty. Obydwoje nie

dawali za wygraną. Jaz wyszukiwała kolejne, uprzejme wymówki, Beau je bagatelizował. Wreszcie wyciągnął rękę, delikatnie pogładził Jaz po policzku, po czym oświadczył, że mimo wszystko do niej wstąpi. Szare oczy błyszczały w ciemnościach. Łagodna pieśczoła spowodowała przyspieszenie akcji serca i oddechu Jaz. Zanim ochłoneła, opuścił rękę. Wysiadł z samochodu, jakby wiedział, że nie zamierza ustąpić. Czy odgadł również, jak silnie na nią działa? Czy z samego spojrzenia wyczytał ukryte tęsknoty? Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Ruszyła oblodzoną ścieżką, grzebiąc w torebce za kluczami. Dopiero na schodach zerknęła ukradkiem na towarzysza. Napotkała jego wzrok.

- Patrzysz na mnie jak spłoszona sarna - zauważył ze smutkiem. - Przerażam cię? - Mimo woli przesunął palcami wzdłuż szramy na policzku.

Jaz wyczula, że wystarczy powiedzieć „tak”, żeby dał jej spokój. Nie ulegało jednak wątpliwości, w jaki sposób Beau zinterpretowałby odrzucenie. Nawet mu przez myśl nie przeszło, jak bardzo ją pociąga. Przeciwnie, był przekonany, że budzi odrazę. Gdyby go odepchnęła, zadałaby jego zranionej duszy kolejny dotkliwy cios. Nie miała sumienia go skrzywdzić.

- Nie ciebie się boję - zaczęła i na tym zakończyła.

Brakło jej odwagi, by wyznać, że tylko lęk przed własną słabością powstrzymuje ją od zaproszenia go do środka. Gdyby pozostała z nim sam na sam, skruszyłby jej opór jednym pocałunkiem. Wprawdzie i teraz w całej okolicy nie było żywej duszy, ale w ścietym mrozie ogrodzie narażona była na mniejsze pokusy. Stała przed nim zagubiona, niezdeterminowana, z kluczami w ręku. Podeszedł pół kroku bliżej. Niemalże jej dotykał.



- Czy uwierzysz mi. Jaz, że nigdy, przenigdy nie chciałbym cię skrzywdzić? - zapytał poważnie, zaglądając jej głęboko w oczy.

Jaz o mało nie zemdląła. Brakowało jej tchu. Nie ulegało wątpliwości, że Beau jej pragnie. Z wzajemnością - Gdyby mu się oddała, a potem by ją zostawił, cierpiałyby do końca życia. Pokręciła głową.

- Zrobisz to mimo woli - stwierdziła ze smutkiem.

Beau pobladł na twarzy. Patrzył na nią długo, poważnie, w nieskończoność. Wreszcie westchnął ciężko.

- Tak bardzo chciałbym zasłużyć na twoje zaufanie. Ale sam przeżywam wyjątkowo trudny okres. Uczciwie mówiąc, stoję właśnie na rozdrożu. Nie odnalazłem jeszcze samego siebie. - Odstąpił krok do tyłu.

Wyznanie Beau w nieoczekiwany sposób pomogło Jaz określić własne stanowisko. Wszystkie rozterki, obawy, zasłużenia w jednej sekundzie poszły w niepamięć. Wiedziała już, czego pragnie. Jego! Kochała go całym sercem. Kilka godzin wcześniej, kiedy po nią przyjechał, serce podskoczyło jej z radości. Wtedy jeszcze oszukiwała samą siebie, walczyła z nierozsądnym, jej zdaniem, uczuciem. Teraz przestała zaprzeczać, że od samego początku przyciągał ją jak magnes. Pojęła, że nadszedł przełomowy moment. Jeżeli znów stchórzy, utraci go na zawsze.

- Być może ty również potrzebujesz bratniej duszy - wyszeptała.

Stała na palcach i nieśmiało pocałowała go w usta.

Beau stał bez ruchu przez kilka potwornie długich sekund. Następnie gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie. Pogłębił pocałunek. Zanurzyła ręce w gęstwinę ciemnych włosów. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Całowała namiętnie, gorąco, bez końca. Beau wsunął rękę pod palto Jaz. Dotyk gorącej dłoni na wezbranej piersi przyspieszył jej

oddech. Wzdychała z rozkoszy. Beau pieścił ją coraz intensywniej. W dwóch ciałach płonął ogień namiętności.

Oślepiający blask świateł przejeżdżającego samochodu przywrócił ich do rzeczywistości. Dwie głowy odskoczyły od siebie, jakby ktoś wylał na nich kubek lodowatej wody. Jaz nie potrafiła odczytać żadnych uczuć z jasno oświetlonej twarzy Beau. Wiedziała tylko, że magiczna chwila przeminęła bezpowrotnie. Miała nadzieję, że nie dostrzegł rozczarowania w jej oczach. Wyprostowała się. Z wysiłkiem przywołała możliwie beztroski uśmiech.

- Teraz widzisz, że to nie był najszcześniejszy pomysł.

- Masz rację - przyznał ze zwykłą rezerwą.

- Idź już. - Z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła. Pragnęła, żeby odszedł, zanim z oczu pociekną jej łzy. Gdyby w tej chwili zaczął tłumaczyć, z jakich powodów unika osobistego zaangażowania, pękłoby jej serce. - To wszystko moja wina. Sprowokowałam cię.

- Ponieważ odgadłaś, dlaczego nalegałem, żebyś mnie zaprosiła. Nie myśl, że mnie nie pociągasz. Tylko nie jestem pewny, czy zostanę tu na stałe.

Jaz nie potrzebowała żadnych dalszych wyjaśnień. Nie ulegało wątpliwości, że zaraz po powrocie do stolicy słynny gwiazdor zapomni o ogrodniczce z prowincji, niezależnie od tego, czy wróci na dawne stanowisko czy też podejmie nowe wyzwania. Wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością.

- W takim razie lepiej, że nie uległam twoim namowom. Dzięki nieznanemu kierowcy opamiętanie przyszło w samą porę.

- Jak zwykle mnie zaskakujesz. Jesteś wyjątkowo tajemniczą młodą damą, Jaz.

Prawdopodobnie właśnie w różnicy wieku i doświadczenia upatrywał główną przeszkodę. Z całą

pewnością nieśmiała, wrażliwa wieśniaczka nic stanowiła odpowiedniej partii dla światowego człowieka.

- Ładnie to ująłeś - skomentowała tak beztróskim tonem, na jaki było ją stać. - Dziękuję za mile słowa, ale już pora spać. Jestem bardzo zmęczona.

- Wobec tego przyjdź w poniedziałek później do pracy. - Odstąpił krok do tyłu nadal z rękami w kieszeniach. Jaz odetchnęła z ulgą, że nie wrócił do osobistych tematów.

- Skoro nie zamierzasz u nas osiaść na stałe, rozważ, czy warto tracić czas i pieniądze na urządzenie ogrodu, którego nie będziesz oglądał. Oczywiście jeśli zdecydujesz opuścić Aberton, zwrócę ci zaliczkę - dodała z ociąganiem.

Przemilczała, że zdążyła już wydać sporą część honorarium na uzupełnienie zapasów w zamrażarce i zakup paru niezbędnych drobiazgów. Wątpiła, czy przyjąłby tytułem rekompensaty mrożone warzywa albo pantofelki na obcasach, nie wspominając o damskiej bieliźnie!

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Na razie niech zostanie tak, jak jest - wybawił ją z opresji. - Wracaj do domu, zsiniałaś z zimna.

Rzeczywiście temperatura mocno spadła. Mróz ponownie ściał ziemię i zamienił warstewkę świeżego śniegu w niebezpieczną ślizgawkę.

- Uważaj na siebie - upomniała go bez zastanowienia.

Wbrew jej obawom nie wytknął tym razem, że przemawia jak nadopiekuńcza mamuśka. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Nadmiar wrażeń odebrał jej resztki sił. W ciągu zaledwie kilku godzin przeżyła wszystkie możliwe rozterki, towarzyszące pierwszej miłości. Całe szczęście, że na dywaniku przed drzwiami nie znalazła kolejnego listu od nieznanego nadawcy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jaz źle spała tej nocy. Nie mogła sobie darować bezwstydnego, jej zdaniem, zachowania po powrocie z przyjęcia u Madelaine. Palił ją wstyd, że zainicjowała pocałunek, który wprowadził tyle zamieszania. Do późna w nocy wierciła się w łóżku, rozważając wszelkie możliwe konsekwencje własnej lekkomyślności. O wpół do ósmej rano zeszła na dół zaparzyć kawę. Jeszcze na schodach zerknęła z niepokojem na dywanik przed drzwiami wejściowymi. Widok znajomego białego prostokąta na ciemnym tle nie poprawił jej nastroju. Najwyraźniej nieprzyjaciel również nie spał. Trzeci list zawierał tylko jedno słowo:

Suka.

Zemdlilo ją. Wyobrazila sobie mglistą postać bez twarzy, krążącą gdzieś w pobliżu niby koszmarna zjawia. Ktoś nienawidził jej do tego stopnia, że zarwał noc, żeby zatruć jej poranek. Na myśl o tym, że niewidzialny wróg jeszcze przebywa gdzieś w pobliżu, przez ciało Jaz przebiegi Jodowały dreszcz. Próbowwała odgadnąć jego tożsamość. Bez skutku. Nie pojmowała, co skłania tego człowieka do zadawania innym cierpień. W końcu przedarła list wraz z kopertą na pół i wrzuciła do pojemnika na śmieci. Niewiele jej to pomogło. Jedyne słowo na środku białej kartki wciąż stało jej przed oczami. Ten, kto je napisał, z pewnością wiedział, że poszła na przyjęcie do Madelaine w towarzystwie Beau. Ataki z reguły następowały po wspólnych wypadach. Co wcale nie ułatwiało rozwiązania zagadki. W małej miejscowości trudno zachować w tajemnicy najbłahsze nawet wydarzenie.

Jaz doskonale znała mechanizm funkcjonowania poczty pantoflowej. Wystarczyło, że Betty Booth wymieniła o świcie parę zdań z mleczarzem, aby wieść dotarła do wszystkich osób zamawiających mleko, czyli co najmniej do połowy mieszkańców. Wbrew pozorom to właśnie powszechna

dostępność informacji zapewniała nadawcy anonimowość. Im większy krąg podejrzanych, tym trudniej wykryć sprawcę. Niewykluczone, że listy podrzucał kierowca samochodu, który przeszkodził w intymnym pocałunku. Żałowała, że nie zwróciła uwagi przynajmniej na markę. Kolor i tablice rejestracyjne pozostawały niewidoczne w ciemnościach. Ale w tamtej chwili Beau interesował ją o wiele bardziej. Pocieszała się, że i tak nie sposób stwierdzić, czy auto przejeżdżało tamtędy przypadkiem, czy też kierowca ich śledził. Nie pozostało jej nic innego, niż uznać, że listy wysyła ktoś, kogo i tak nie lubi. Co nie przeszkadzało, że nadal odchodziła od zmysłów. Groziło jej, że popadnie w manię prześladowczą, zacznie podejrzewać wszystkich znajomych, notować numery każdego samochodu i ważyć każde słowo, żeby nic dać broni do ręki nieznanemu wrogowi.

Już teraz wystraszył ją najzwyklejszy dzwonek telefonu. Podeszła do aparatu na miękkich nogach. Kto jej szukał przed ósmą rano? Czyżby prześladowca sięgnął po bardziej radykalne środki, żeby zatruć jej życie? Nie miała innego wyjścia, jak podnieść słuchawkę i sprawdzić, kto i dlaczego nęka ją o tej porze. Zacisnęła zęby.

- Dzień dobry, Jaz - pozdrowił ją wesoło Beau. Słyszając jej drżący głos, zapytał z troską: - Masz jakieś kłopoty? Złe spałaś?

- Nie najgorzej - skłamała.

Zapadła długa cisza, jakby rozmówca rozważał, co powiedzieć.

- Nie przychodź dzisiaj do ogrodu. Lepiej odpocznij. Mróz uniemożliwia jakiegokolwiek prace ziemne, a meteorolodzy nie zapowiadają ocieplenia.

Załamał ją do reszty. W obliczu nieznanego wroga tylko nadzieja na spędzenie kilku godzin w jego towarzystwie podtrzymywała ją na duchu.

Beau dawał jej oparcie, zapewniał poczucie bezpieczeństwa. Z niecierpliwością czekała na spotkanie. Wpadła w rozpacz, że jej nie potrzebuje. Czekał ją długi, nudny dzień, wypełniony jałowymi rozważaniami. Nie pozostało jej nic innego, jak pomóc staremu Fredowi w szklarni. Zanim Beau przyjechał do Aberton, pielęgnacja sadzonek dawała jej wiele satysfakcji. Teraz te same czynności nie przynosiły zadowolenia, gdy jego nie było w pobliżu.

- Skoro dysponujesz czasem, zapraszam na obiad o wpół do pierwszej.

W sercu Jaz rozbłysła nikła iskierka nadziei.

- Sam przygotujesz?

- Uważasz, że nie umiem?

- Nie, skąd, tylko jak zwykle mnie zaskoczyłeś. Nie sposób przewidzieć, jak postąpisz.

- Zapewniam cię, że taka zmienność nastrojów nie leży w mej naturze. To rodzaj samoobrony. Intrygujesz mnie i równocześnie wprawiasz w zakłopotanie, panno Logan. Do tej pory prowadziłem uregulowany tryb życia. Wiedziałem, czego chcę. W pewnym momencie z oczywistych względów zapragnąłem odmiany. Nic przewidziałem tylko, że spotkam kogoś takiego jak ty.

- Przyjdę z wielką chęcią. Przy okazji wybadam, co sądzisz o „osobie takiej jak ja” - rzuciła beztrąsko. Jej dusza śpiewała z radości, że wkrótce go zobaczy. Jednym zdaniem rozproszył wszystkie lęki. Gdyby bezimienny prześladowca stanął w tej chwili w drzwiach, pokazałaby mu język. Ponieważ tego nie uczynił, wykonała obraźliwy gest w stronę dywanika, na który uprzednio spoglądała z takim niepokojem.

- Niedoczekanie! Wystarczy, że wbrew rozsądkowi zapraszam cię na obiad.

- Bardzo uprzejmie z twojej strony - wytknęła rozbawiona.

Nie dociekała, czemu uznał przygotowanie dla niej posiłku za nieroztropność. Grunt, że propozycja brzmiała obiecująco. Zarówno serce, jak i rozum nakazywały Jaz przyjąć ją bez dalszych komentarzy.

- Nikt do tej pory nie posądzał mnie o nadmiar kurtuazji - odparował Beau równie lekkim tonem.

- Chcesz, żebym coś przyniosła? - spytała, zadowolona, że droczy się z nią jak za najlepszych czasów.

- Tylko siebie.

- Dobrze, będę o wpół do pierwszej - zapewniła.

Poczuła przyjemne ciepło w okolicy serca. Stała jeszcze długo w holu, oszołomiona i bezgranicznie szczęśliwa. Dopiero później przyszła typowo kobieca refleksja, że nie ma co na siebie włożyć. Jedyną wieczorową sukienkę uznała za zbyt strojną na niezobowiązującą wizytę, spodnie i bluzę za beznadziejne.

Weszła na górę, by poszukać w szafie czegoś przyzwoitego. Na schodach dopadło ją przygnębienie ze znacznie poważniejszego powodu. Ostatnio Beau sprawiał wrażenie rozczarowanego atmosfera i obyczajami prowincji. Wyglądało na to, że nawet ogród niespecjalnie go już interesuje, jakby na serio rozważał myśl o powrocie do Londynu. Zadawała sobie pytanie, co ze sobą zrobi, jeżeli go utraci. Kochała go do szaleństwa. Po jego odjeździe nic czekało jej nic prócz cierpienia i tęsknoty. W końcu powiedziała sobie, że musi twardo stąpać po ziemi. Żyła tyle lat bez niego, przeżyje i następne. I tak nie ma żadnego wpływu na jego decyzje. Logiczne rozumowanie nic przyniosło jednak ukojenia zbolącej duszy.

Jaz zatrzymała samochód na podjeździe. Nie od razu wysiadła. Powrót na Starą Plebanię zawsze ją przygnębiał.

Widok wewnątrz, które pamiętała z dzieciństwa, przywoływał niemiłe wspomnienia. Wróciły dopiero przed domem. Wcześniej nie odczuwała nic prócz radosnej euforii przed spotkaniem z ukochanym. Niecierpliwie wyczekiwała umówionej godziny. A jednak kiedy wreszcie nadeszła, Jaz podążała znajomą ścieżką powoli, ze spuszczoną głową, jak na szafot. Odetchnęła z ulgą, kiedy Beau zaproponował, że zjedzą w kuchni. Po remoncie nie przypominała w niczym pomieszczenia sprzed lat. Jaz nie zdążyła przybrać pogodnego wyrazu twarzy. Bystre oko dziennikarza dostrzegło smutek w jej oczach.

- Nie lubisz tego domu - raczej stwierdził, niż zapytał. - Huśtawka w ogrodzie i kolorowe wzorki w sypialni to tylko iluzja. Nie zaznałaś tu szczęścia.

Jaz wzięła głęboki oddech. Wsunęła obydwie ręce do kieszeni nowych spodni.

Beau obserwował ją bacznie spod współprzymkniętych powiek.

- Nie osądzaj zbyt surowo moich dziadków. Dokładali wszelkich starań, żeby nas dobrze wychować.

- Ale ponieśli porażkę, właściwie dwie - dokończył.

- Za dużo sobie pozwalasz! - krzyknęła urażona. - Spróbuj ich przynajmniej zrozumieć. Byli dobrymi ludźmi. Zbyt późno zostali rodzicami, dopiero około czterdziestki. Nie umieli postępować z dzieckiem. A mama... - Pokręciła głową ze smutkiem. - No cóż, powiem ci, nim zrobi to ktoś inny.

- Czemu ktoś miałby informować obcą osobę o dziejach twojej rodziny?

- Ludzie zawsze plotkują.

- Nie wszyscy. Ci, których znam, zwykle zachowują dyskrecję, ale co do miejscowych przyznaję ci rację.

Ostatnie stwierdzenie wyprowadziło Jaz z równowagi.



- Czy zaprosiłeś mnie po to, żeby mnie dręczyć? - spytała przez łyzy.

- Oczywiście, że nie - oświadczył łagodniejszym już głosem. Równocześnie posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. - Nie rozumiem, czemu drażni cię każde moje słowo.

Jaz pojęła, że przebrała miarę. Mieszkańcy Aberton nie wyświadczyli jej aż tyle dobra, żeby bronić ich honoru kosztem przyjaźni. Jeszcze nie ochłonęła po odczytaniu ostatniej porcji obelg, co nie upoważniało jej do obrażania Boga ducha winnego gospodarza. Nie Beau Garrett, lecz nadawca anonimowych listów ponosił odpowiedzialność za jej zły nastrój. Nie zdradziła jednak prawdziwej przyczyny swego przygnębienia.

- Wybacz. Straciłam kontrolę nad sobą. To miejsce zawsze budzi przykre wspomnienia. - Przywołała na twarz uśmiech. - Lepiej powiedz, jakie przysmaki przygotowałeś.

Beau zignorował pytanie. Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Bardzo łatwo cię zranić, Jaz. Uważam, że ktoś powinien się tobą zaopiekować.

Jaz odetchnęła z ulgą, że wreszcie przestał badać jej przeszłość. Spróbowała nadać rozmowie lżejszy ton:

- Za takie stwierdzenie feministki okrzyknęłyby cię męskim szowinistą.

- Niesłusznie. Jestem dorosłym mężczyzną, a nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby ktoś się o mnie zatroszczył.

Jaz wyczuła, że znów wkroczyli na niepewny grunt. Beau chyba doszedł do tego samego wniosku. Milczał przez długi czas. Patrzyli sobie w oczy niemalże w nieskończoność. Napięcie rosło z każdą chwilą. Dopiero dzwonek minutnika wybawił ich z niezręcznej sytuacji. Beau pospiesznie otworzył piekarnik. Oparzył sobie przy tym rękę. Zaklął pod nosem.

- Miałeś rację, stanowczo potrzebujesz opieki - mruknęła Jaz.

- Na opakowaniu napisali, że będą gotowe za czterdzieści pięć minut.

- I są. - Jaz wyciągnęła z kuchenki dymiące lasagne.

Postawiła brytfankę no blacie. Smakowity aromat wypełnił kuchnię.

- W lodówce jest sałatka, w piecyku pieczone ziemniaki.

Jaz z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu. Beau gotów był do północy rozprawiać o jedzeniu, byle nie wróciła do śliskiego tematu. Spróbowała go uspokoić:

- Kiedy wspominałam o osobie do pomocy, myślałam o gosposi. Czemu nie zatrudnisz jakiejś kobiety do prac domowych?

- Nic znoszę obcych w domu - odburknął.

- Moja żona po ślubie stanowczo odmówiła sprzątaniam i gotowania. Zabrała do nas swoją pomoc domową. Twierdziła, że człowiek na moim stanowisku powinien zatrudniać służbę. Chyba nigdy nie dorosłem do mojej pozycji, bo czułem się jak intruz we własnym domu. Obie panie omawiały między sobą jadłospis, nie pytając mnie o zdanie. W rezultacie przeważnie jadałem potrawy, których nie lubię. Kiedy chciałem odpocząć we własnej sypialni, wysłuchiwałem napomnień, żebym nie nabałagał. Gość w hotelu ma więcej swobody! Kiedy Veronica mnie opuszczała, zażądałem, żeby zabrała swą nieocenioną gosposię.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Dziesięć miesięcy, trzy dni i sześć godzin - wyliczył, jakby podawał czas trwania kampanii wojennej. - Uznałem, że jedno tego typu doświadczenie wystarczy w zupełności. Postanowiłem, że nigdy więcej nie popełnię tego samego błędu - zakończył z chmurną miną.

O ile precyzyjna wyliczanka rozbawiła Jaz, o tyle ostatnia uwaga do reszty popsowała jej nastrój. Z całą pewnością nie dotyczyła zatrudniania służby. Stanowiła ostrzeżenie, żeby nic robiła sobie zbyt wielkich nadziei. Nic mógł jaśniej wyrazić awersji do instytucji małżeństwa. Chociaż do tej pory Jaz nie śmiała nawet marzyć, że ktoś taki jak Beau Garrett poprosi ją o rękę, poczuła w sercu ukłucie rozczarowania. Na szczęście gospodarz, zajęty wykładaniem potrawy na talerze, nie dostrzegł smutku w jej oczach. Jaz stała beczynn timer z boku. Stół był już nakryty, sztucce rozłożone, nic więcej nie pozostało do zrobienia. Zadzwo nił telefon. Beau, zniecierpliwiony, poprosił, żeby odebrała. Przeszkodzono mu w najmniej odpowiednim momencie.

Jaz stała w miejscu z niepewną miną. Postawił ją w niezręcznej sytuacji. Gdyby telefonowała bliska przyjaciółka Beau, nie wiedziałyby, jak usprawiedliwić swoją obecność w jego domu. Usłyszała drugi dzwonek, trzeci i czwarty, ale brakowało jej odwagi, by spełnić prośbę gospodarza. Ponaglił ją niecierpliwie, nie ukrywając irytacji, że tak długo zwleka. Podniosła słuchawkę bez dalszego ociągania. Jeżeli jemu nic przeszkadzało, że rozmówca usłyszy kobiecy głos, jej tym bardziej.

- Słucham?! - zawołała. Odpowiedziała jej cisza.

- Halo! - powtórzyła raz i drugi.

Znowu nic. Słyszała tylko czyjś oddech, a potem trzaśnięcie odkładanej słuchawki. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Straszliwe podejrzenie odebrało jej spokój do reszty.

- Kto to? - zapytał Beau.

- Już nikt. Najprawdopodobniej pomyłka - odrzekła tak spokojnie, jak potrafiła.

Była pewna, że rozmówca nie pomylił numerów, tylko zastał przy aparacie niewłaściwą osobę.

Natychmiast skojarzyła niemego rozmówcę z bezimiennym nadawcą obraźliwych listów. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze znał Beau i nie darzył sympatią Jaz. Nikt inny nie miał powodów, by ukrywać przed nią swoją tożsamość.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy Jaz uświadomiła sobie, że odebrała telefon od wroga, poczuła, że traci grunt pod nogami. Krew odpłynęła z jej twarzy, kolana zaczęły drżeć. Beau spostrzegł, że zasłabła. Zareagował natychmiast. Cisnął nieopróżnioną jeszcze brytfankę na suszarkę do naczyń i pospieszył z pomocą. Posadził Jaz na krześle. Pochylił jej tułów do przodu, żeby krew napłynęła do głowy. Ukląkł obok i podtrzymywał dotąd, aż odzyskała świadomość. Wyprostowała się, gdy tylko wróciły jej siły.

- Co ci jest? - zapytał Beau z troską.

- Sama nie wiem. Nagle zrobiło mi się słabo.

- Po odebraniu telefonu.

- Ktoś wybrał niewłaściwy numer - obstawała przy swoim.

- Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby człowiek pobladł jak ściana z powodu zwykłej pomyłki - nie ustępował. - Powiedz, usłyszałaś coś przykrego? Naubliżano ci? - nalegał. Obserwował Jaz zwięzionymi w szparki oczami.

Jaz gorączkowo poszukiwała sposobu, żeby odwrócić jego uwagę. Popatrzyła znacząco na brytfankę na suszarce do naczyń.

- Obiad stygnie.

- Do diabła zjedzeniem! - krzyknął rozdrażniony. - O mało nie zemdlałaś. Coś przede mną ukrywasz. Jeżeli myślisz, że zasiądę do stołu, zanim opowiesz, co cię spotkało, to jesteś w błędzie.

- Wielka szkoda. Prawdopodobnie zasłabłam z głodu - skłamała, chociaż nie była pewna, czy byłaby w stanie cokolwiek przełknąć.

Nadal strzegła swej tajemnicy. Gdyby wyznała, co ją dręczy, Beau zmusiłby ją do odtworzenia najdrobniejszych szczegółów. W końcu doszedłby do tego samego wniosku co

ona: że to ich przyjaźń wywołała lawinę anonimowych listów, zakończoną głuchym telefonem. Zbyt słabo go znała, żeby przewidzieć, co zrobi, gdy pozna prawdę. Beau posłał jej groźne spojrzenie. Patrzył jej w oczy przez kilka długich, pełnych napięcia sekund. W końcu dał za wygraną:

- Dobrze, nakarmię cię, ale potem już nie unikniesz odpowiedzi. Prawdziwej - dodał po chwili przerwy ostrzegawczym tonem, jakby znał jej zamiary.

Jaz ani przez chwilę nie wątpiła, że Beau zaraz po obiedzie przystąpi do wymuszania zeznań. Dobrze, że przynajmniej dał jej nieco czasu na wymyślenie wiarygodnej opowieści. Sprawy anonimowych listów nadal nie zamierzała poruszać. Przynajmniej nie w jego obecności, aczkolwiek dopuszczała możliwość zawierzenia swych trosk innej zaprzyjaźnionej osobie. Przez następne pół godziny prowadziła niezobowiązującą konwersację o niczym. Robiła, co mogła, żeby uwierzył, że chwilowe załamanie minęło bez śladu. Kosztowało ją to wiele wysiłku. Gospodarz przez cały czas nie spuszczał z niej oka. Jaz wmuszała w siebie jedzenie, którego smaku w ogóle nie czuła. Obawiała się, że zaraz dostanie mdłości. Wreszcie Beau wstał. Odsunął na bok nieopróżnione talerze.

- Jeszcze nie skończyliśmy - zaprotestowała.

- Widocznie niespecjalnie nam smakowało - uciał. Posłał jej drwiący uśmiezek. - Zwlekanie nic ci nie da. Muszę wiedzieć, jaka przykrość cię spotkała - dodał już łagodniej.

Ciepły ton jego głosu zupełnie rozbroił Jaz. Długo powstrzymywane łzy popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Beau podbiegł do niej, podniósł ją z krzesła i utulił w ramionach. Oparła głowę o mocną pierś, objęła go w talii i płakała bez końca jak skrzywdzone dziecko. Beau gładził ją po włosach, szeptał do ucha słowa pocieszenia. W końcu płacz ustał, łzy obeschły. Jaz stała jeszcze cicho, wtulona w

ukochanego mężczyznę. Z przyjemnością korzystała z chwili względnego spokoju, żeby zebrać myśli. Niestety przeminęła zbyt szybko. Beau bezbłędnie odgadł jej intencje.

- Nie kombinuj, Jaz. Słyszę, jak pracują trybiki w twoim mózgu. Lepiej powiedz prawdę.

Wiedziała, że nie ustąpi. Nagle zaświtała jej myśl, że być może niesłusznie przypisywała głuchy telefon anonimowemu oszczercy. Jeżeli dwie osoby z różnych powodów ukrywały tożsamość, przedstawiłaby Beau zafałszowany obraz sytuacji. Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, zdecydowała skierować rozmowę na bezpośrednią przyczynę omdlenia:

- Ktoś odwiesił słuchawkę. Przyszło mi do głowy, że damski głos po drugiej stronie wyprowadził jakąś panią z równowagi.

- To jeszcze nie powód do rozpacz.

Dla zakochanej kobiety najgorszy z możliwych - pomyślała z goryczą. Z oczywistych powodów zataiła tę refleksję przed rozmówcą. Czuła, że znów zabrnęła w ślepią uliczkę. Gorączkowo szukała logicznego wyjaśnienia.

- Pożałowałam z całego serca, że podeszłam do telefonu. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że popsułam ci układy z bliską osobą. Zawsze byłeś dla mnie taki dobry...

- Niczego nie popsułaś - zapewnił zdecydowanym tonem, co wcale jej nie uspokoiło. Brak doświadczenia nie pozwalał jej rozstrzygnąć, czy Beau nie ma sympatii, czy też pozostaje w luźnym związku, który wyklucza ataki zazdrości.

- Zapewniam cię, że nie znam ani też nie chcę znać tak źle wychowanych kobiet - uściślił, widząc jej niepewną minę.

- I co teraz powiesz?

- Że twoje znajomości to nie moja sprawa. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Dobrze, zacznijmy z drugiej strony. No początku wizyty wspomniałaś o mamie... - Zawiesił głos.

- Nie wracajmy do przeszłości - mruknęła, zirytowana, że jej wysiłki spęły na niczym. Wiedziała, że póki u niego zostanie, dociekliwy reporter nie zaprzestanie śledztwa. Spojrzała na zegarek. - Czas na mnie. Biedny Fred sam pracuje przez cały dzień.

- Do tej pory jakoś cię to nie martwiło.

- Ponieważ przed sezonem nie miałam klientów. A dzisiaj z samego rana przyszło dwóch.

Beau skrzyżował ręce na piersi. Obrzucił ją ironicznym spojrzeniem. Nawet człowiek zupełnie niewtajemniczony odgadłby, że nie zrobiła wielkiego interesu. Jedna osoba kupiła tuzin sadzonek, druga dwie torebki nawozu. Groszowy zarobek utwierdził ją w przekonaniu, że w Aberton nie wyżyje z ogrodnictwa. Zaczęła nawet ponownie rozważać pomysł opuszczenia rodzinnej miejscowości.

- Dziękuję za poczęstunek - usiłowała pospiesznie zakończyć wizytę.

- Który okazał się totalną klęską - dokończył z ironicznym błyskiem w oku.

- Jestem innego zdania. Przyznaję, że niepotrzebnie wpadłam w panikę z powodu głupiej pomyłki. Przepraszam, że narobiłam tyle zamieszania.

Poza tym jednym incydentem Jaz rzeczywiście uważała spotkanie za bardzo udane. Beau ugościł ją po królewsku, przy stole miło gawędzili, a co najważniejsze ona skutecznie ukryła prawdziwą przyczynę swego zaśląbnięcia. Beau znów podszedł do niej bliżej. Położył ręce na jej ramionach, lecz tym razem lekko nią potrząsnął.

- Zrozum, Jaz. Nie mam do ciebie o nic pretensji. Nie znajduję żadnego powodu, żeby przestać cię lubić.

- A szukasz? - wykrztusiła z niedowierzaniem. Beau zbladł. Zacisnął szczęki.



- Bardzo intensywnie. Może mówisz przez sen? Chrapiesz? - Przerwał, widząc, jak kręci głową po każdym pytaniu. - Nie, żadna z tych wad nie zraziłaby mnie do ciebie.

- A moje niebotyczne kompleksy? - odpowiedziała.

- Też nie.

- Przykro mi, że ci nie pomogłam.

- No i jak tu się na ciebie gniewać! - wybuchnęła śmiechem. - Potrafisz mnie rozbawić nawet wtedy, gdy jestem na ciebie zły. Co ja mam z tobą zrobić? - zapytał bezradnie.

Jaz milczała. Patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Czuła, że nadchodzi decydująca chwila. Palce Beau nie uciskały już jej ramion, gładziły je teraz czule. Nie odnajdowała w nim ani śladu dawnego wzburzenia. Zwilżyła wyschnięte wargi.

- A co byś chciał? - spytała równie nieśmiało co prowokująco.

- Pozwól, że przemilczę tę kwestię. Gdyby chodziło o kogoś innego, bez wahania dążyłbym do zaspokojenia moich pragnień. - Westchnął głęboko. - Ale jesteś taka młodziutka, a ja za dwa miesiące, dziesiątego maja, skończę czterdzieści lat.

- Za dwa miesiące, dziesiątego maja, ja skończę dwadzieścia sześć - zachichotała Jaz.

- No nie, tego już za wiele! - wykrzyknął. Odszedł na drugi koniec kuchni. - Opuściłem Londyn, żeby odpocząć od miasta, od zgiełku, od nadmiaru wrażeń, a zamiast wydarzonego spokoju niebiosa zesłały mi ciebie! - Uniósł wzrok do góry, jakby błagał Opatrzność o zmiłowanie.

- Chyba chciałeś powiedzieć, że diabli mnie nadali - roześmiała się znowu.

- Wcale tak nie myślę! - zaprzeczył gwałtownie. Jaz podeszła całkiem blisko. Stała zaledwie pół kroku od niego. Posłała mu nieśmiały uśmiech. Jeżeli dobrze odczytała aluzję, nie była mu obojętna. Walczył z rodzącym się uczuciem

równie zawzięcie jak ona. Mimo niepewności postanowiła wykorzystać szansę. Być może jedyną.

- Ty również bardzo mi się podobasz - wyznała z zażenowaniem.

Beau opuścił powieki. Oddychał ciężko. Jaz widziała, że toczy wewnętrzną walkę. Kiedy znowu otworzył oczy, błyszcząły srebrzystym blaskiem.

- Nie wypada mówić mężczyźnie takich rzeczy. Tym bardziej że dzieli nas nie tylko różnica wieku, ale i życiowych doświadczeń. - Usiłował nadać głosowi szorstkie brzmienie, lecz nie był w stanie ukryć wzruszenia. Skrzyżował ręce na piersiach. Pokręcił głową ze smutkiem. - Miałem żonę, mnóstwo romansów zarówno przed ślubem, jak i po rozwodzie. W porównaniu ze mną jesteś niewinna jak mała dziewczynka, z głową pełną niespełnionych marzeń - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Jaz obserwowała go uważnie. Umiała już odczytywać mowę jego ciała. Nic zmylił jej zawzięty wyraz twarzy. Przyjął postawę obronną. Postanowiła ją przełamać za wszelką cenę. Nie miała nic do stracenia. Zebrała całą odwagę. Serce waliło jej jak młotem.

- Z twoich opowieści wnioskuję, że ty również nie zaznałeś spełnienia. Życiowe rozczarowania skłoniły cię do rezygnacji z marzeń. Łączy nas o wiele więcej, niż chcesz przyznać.

- W jaki sposób w tak krótkim życiu zdołałaś nagromadzić tyle wiedzy psychologicznej, panno Logan? - zadrwił z nutką podziwu w głosie.

- Broda nie czyni z człowieka mędrca - zacytowała znane przysłowie.

- przypuszczam, że wyciągnęłaś wiele wniosków z obserwacji pokoleń rodziców i dziadków.

- Tak - potwierdziła bez komentarza. Życie w małej społeczności stwarzało więcej okazji do poznawania ludzkiej natury niż liczne, lecz powierzchowne znajomości mieszkańców wielkich miast.

Beau zupełnie nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie. Pochylił głowę, dotknął wargami jej ust. Oplotła mu szyję ramionami, zanurzyła palce w gęstwinie włosów i z pasją oddawała pocałunki. Podświadomie czekała na tę chwilę przez cały poprzedni wieczór, noc i rano. Kochała go, marzyła, żeby spędzić resztę życia przy jego boku. Ponieważ nie istniała na to nawet najmniejsza szansa, brała łapczywie wszystko, co zechciał ofiarować w tej chwili. Rozpięła mu koszulę. Usta podążały za ruchem dłoni. Smakowała go, chłoneła ciepło rozgrzanego ciała, syciła wzrok widokiem ukochanej postaci. Nie odczuwała wstydu, nie przeszkadzał jej brak doświadczenia. Wiedziona naturalnym instynktem zatraciła się w namiętności.

Coś stuknęło nad ich głowami. Później usłyszeli łoskot, wreszcie jakiś przedmiot uderzył z brzękiem o ziemię gdzieś na zewnątrz, w pobliżu okna od kuchni.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jaz i Beau zamarli w bezruchu na ułamek sekundy. Następnie obydwójce równocześnie zwrócili głowy w stronę źródła hałasu.

- Dennis! - krzyknęła Jaz.

- Davis! - zawtórował jej Beau.

Ruszyli pędem ku drzwiom. Wybiegli na ścieżkę. Razem zadarli głowy do góry. Dennis Davis siedział na dachu. Spoglądał w dół z sennym wyrazem twarzy. Wyjaśnił spokojnie, że dachówka wypadła mu z rąk.

Jaz popatrzyła pod nogi. Wokół jej stóp leżało mnóstwo odłamków terakoty. Na jednym nawet stała. Zanim wyskoczyła do ogrodu, myślała, że to sam robotnik spadł z dachu. Odetchnęła z ulgą, gdy zastała go przy życiu. Dopiero później ogarnęła ją złość. Doświadczony fachowiec, pracujący na wysokościach, powinien bardziej uważać. Gdyby jakiś człowiek przechodził poniżej, spadający ciężar roztrzaskałby mu głowę. Wyglądało na to, że Beau pomyślał o tym samym. Gniewna mina nie wróżyła nic dobrego.

- Natychmiast schodź z mojego dachu! - rozkazał.

- Ależ jeszcze nie skończyłem roboty - protestował majster.

- Prawdę mówiąc, zaledwie zacząłeś. Złaż natychmiast!

- To tylko niegroźny wypadek, Beau - wtrąciła nieśmiało Jaz.

- Który nie powinien się zdarzyć - odburknął Beau. - Drogo cię to będzie kosztowało, Davis. Zabieraj swój sprzęt i jazda stąd! Zwalniam cię bez możliwości powrotu.

Jaz próbowała bronić Dennisa. Uważała, że Beau wymierzył starszemu, niezbyt sprawnemu przecież człowiekowi nieproporcjonalną do przewinienia karę. Nie słuchał żadnych argumentów. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że nie znajdzie w okolicy innego fachowca. Dennis z

ociąganiem pozbierał narzędzia. Powoli, ostrożnie zszedł na ziemię. Stał na wprost srogiego pracodawcy. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Czyżbym w czymś przeszkodził? - zapytał z dziwnym błyskiem w oku.

- Idź już - warknął Beau.

Dennis nie protestował więcej. Ruszył wolnym krokiem w kierunku furtki. Dopiero teraz Jaz zauważyła, że Beau w pośpiechu zapomniał zapiąć koszulę. Pojęła przyczynę nagłego przebłysku jasnowidzenia zwykle dość wolno myślącego robotnika. Rzuciła okiem na pierś mężczyzny, którego przed kilkoma minutami tak namiętnie całowała. Poczzerwieniała na twarzy. Była pewna, że zwolniony pracownik wykorzysta okazję do zemsty i opowie o tym, co widział, każdemu, kto zechce słuchać. Beau dostrzegł jej zmieszanie. Posłał jej pytające spojrzenie. Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Uważam, że podjąłeś pochoptą decyzję.

- Nie potrzebuję partacza! - odburknął. Spojrzał na nią spode łba. - Gdybyś stała na dole, poniosłabyś śmierć na miejscu.

- Albo ty - wyszeptała. Omal nie zemdląła na myśl, że mogłaby go utracić.

Beau postąpił krok w jej kierunku. Zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszeli przyjazny okrzyk Madelaine. Jak zwykle pozdrawiała ich z daleka z wylewną serdecznością.

- Zapnij koszulę - szepnęła Jaz.

Zasłoniła sobą Beau. Powitała przyjaciółkę ciepłym uśmiechem i potokiem miłych, nic nieznaczących słów. Wprost wychodziła ze skóry, żeby odwrócić jej uwagę od niekompletnie ubranego mężczyzny. Madelaine wyglądała jak zwykle elegancko i świeżo, Nikt by nie odgadł, że przez ostatnie dwa dni przyjmowała gości i wydawała na ich cześć

trwające do późna przyjęcia. Włożyła ciemnoczerwony żakiet ze spodniami, do tego śnieżnobiałą, jedwabną bluzkę. Ucałowała Jaz w obydwa policzki.

- Spotkałam po drodze bardzo przygnębionego Dennisa Davisa. Odniosłam wrażenie, że spotkała go jakaś przykrość.

Beau wyszedł z pleców Jaz w koszuli zapiętej na ostatni guzik.

- Został zwolniony z pracy za nieudolność - poinformował zwięźle.

- Ostrzegałam, że nie można na nim polegać - westchnęła Madelaine ze współczuciem.

- Patentowany dureń - odburknął Beau.

Madelaine wygięła w podkówkę starannie umalowane usteczka. Oburzenie odebrało jej mowę. Jaz również milczała. Nie popierała postępowania Beau. Po cichu przyznawała mu trochę racji, lecz było jej żal starszego mężczyzny. Popełniał już gorsze błędy, a nikt jeszcze nie potraktował go tak bezwzględnie. Beau dostrzegł zde gustowaną minę wdowy. Westchnął ciężko.

- Wybacz, nie powinienem zapominać o zasadach dobrego wychowania z powodu jakiegoś nieudacznika. Zapraszamy na kawę.

- Cudownie! Właśnie odwiozłam gości na stację.. Zobaczyłam Jaz i wstąpiłam., żeby życzyć wam miłego dnia - zaszczębiotała wdowa. - Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam.

- Nie, skądże, właśnie wychodziłam - odparła Jaz.

Okropnie ją krępowało, że obydwoje używali liczby mnogiej, jakby ona i Beau stanowili parę.

Beau usadził ją w miejscu srogim spojrzeniem. Albo rozgniewał się, że nie chce zostać, albo dawał jej do zrozumienia, żeby nic zostawiała go sam na sam z Madelaine.

Jaz nigdy nie potrafiła odgadnąć jego intencji. Jednak zdecydowała się spełnić niemą prośbę.

- Co mi szkodzi zostać jeszcze chwilę - rzuciła lekkim tonem. - I tak zamierzałam zadzwonić, żeby podziękować za sobotnie przyjęcie.

Weszli do kuchni. Beau nastawił czajnik. Obydwie kobiety usiadły przy stole.

- Dobrze się bawiliście w sobotę? - spytała Madelaine.

Jaz nie określiłaby przeżyć tamtego wieczoru mianem dobrej zabawy. Nie wyraziła głośno swych prawdziwych odczuć. Gospodyni nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za jej zły nastrój. Beau postawił na stole dzbanek, filiżanki, cukier i śmietankę.

- Wspaniale! - zapewnił. - Dzięki twojej gościnności przeżyliśmy niezapomniane chwile. Następnym razem my cię zapraszamy. Jeżeli Jaz umie przyrządzić coś więcej niż gotowe mrożonki, jakimi ją przed chwilą uraczyłem, namówię ją, żeby coś przygotowała na sobotę. - Zwrócił spojrzenie w jej kierunku. - No jak, umiesz gotować Jaz?

Jaz osłupiała. Beau postawił ją w sytuacji bez wyjścia. Nie przerażała jej sama perspektywa naszykowania kolacji. Po odejściu matki samodzielnie prowadziła gospodarstwo domowe. Gotowała dla siebie i dla ojca. Wiele zapomniała od tego czasu. Kiedy zmarł, zadowalała się gotowymi produktami, tanimi i łatwymi w przygotowaniu. Odgrzebanie starych przepisów nie stanowiło problemu. Niepokoiło ją natomiast, że Beau przemawia w jej imieniu, jakby łączyło ich znacznie więcej niż przyjaźń. Pytanie o talenty kulinarne bez wątplenia służyło utwierdzeniu Madelaine w błędnym przekonaniu.

- Nie doceniasz swych zdolności, Beau - zaprotestowała Madelaine.

- Powiedziałbym raczej, że nie przeceniam. Pamiętaj, że czekamy na rewizytę - dodał z wyszukaną uprzejmością, nie pytając Jaz o zdanie.

- Cudownie! - zaszczębiotała wdowa. - Przyjadę do ciebie w sobotę.

Jaz nie podzielała ich entuzjazmu. Była pewna, że wcześniej czy później w całej wsi zahuczy od domysłów, z jakich powodów biesiadowali we trójkę. Wieść bez wątpienia dotrze do bezimiennego prześladowcy. Jaz nie potrafiła przewidzieć, jak zareaguje. Madelaine i Beau nie mieli powodu obawiać się plotek. Nikt ich nie znieważał na piśmie, a o atakach na Jaz nie wiedzieli. Gdyby spróbowała odmówić, musiałyby podać przyczynę. Nie pozostało jej nic innego niż przywołać uśmiech na twarz i wyrazić zgodę. Co też uczyniła. Zdecydowała, że gdy zostaną sami, poszuka wiarygodnej wymówki i przekona Beau, żeby odwołał spotkanie. Nieprędko otrzymała po temu okazję. Madelaine gawędziła w nieskończoność, zdecydowanie za długo jak na przypadkowe odwiedziny. Wreszcie zerknęła na zegarek.

- Żałuję, że muszę już iść, ale jestem umówiona z fryzjerką - westchnęła. - Za to w sobotę znowu was zobaczę - dodała wesoło. Posłała Jaz dziwne, nieco drwiące spojrzenie.

- Czekamy z niecierpliwością - zapewnił Beau na koniec.

- Na przyszłość zapraszaj gości tylko w swoim imieniu - napadła na niego Jaz, gdy tylko Madelaine odjechała.

Beau spokojnie sprzątnął kubki ze stołu.

- Uważałem za oczywiste, że obydwójce jesteśmy jej winni zaproszenie - wyjaśnił. - Wybór miejsca też nie nastęczał problemów. Mój dom jest większy i wygodniejszy niż twój, a Madelaine wyglądała na bardzo zadowoloną.

Jaz w duchu przyznawała mu rację. Przyjaciółka tyle razy ją gościła, że dawno powinna pomyśleć o rewanżu. Nie znajdowała żadnych luk w rozumowaniu Beau, nie rozumiała



tylko przyczyn nagłego wybuchu serdeczności. Do tej pory unikał Madelaine jak zarazy. W dodatku dopiero co przeklinał chwilę, w której poznał Jaz. I nagle jedną zapraszał, a drugiej powierzył rolę pani domu, chociaż nie widział w niej życiowej partnerki. Wyobraziła sobie, jakie męki będzie cierpiała, odgrywając główną rolę w tej farsie. I co ją czeka, gdy Beau wróci do Londynu, a ona zostanie sama w gnieździe plotkarzy.

- Szkoda tylko, że nie skonsultowałaś ze mną swojej propozycji - mruknęła.

- Trudno dyskutować o takich sprawach w obecności zaproszonego gościa - odparł. Podszedł całkiem blisko. Dzielili ich zaledwie centymetry. Obrzucił Jaz drwiącym spojrzeniem spod uniesionych brwi. - Zanim Davis zrzucił dachówkę, przysięgłbym, że perspektywa zjedzenia ze mną kolacji nie napawa cię odrazą.

Jaz poczuła, że płoną jej policzki. Gdyby Dennis nie narobił hałasu, Madelaine zastałaby ich w znacznie bardziej niezręcznej sytuacji.

Beau pogłaskał ją po policzku, musnął wargi opuszką kciuka. Jego rysy nagle złagodniały.

- Następnym razem, kiedy zapragniemy odrobiny czułości, proponuję przejść do sypialni, żeby nikt nam nic przeszkodził - powiedział miękko.

Jaz zabrakło tchu. Planował następny raz! Jego gorące spojrzenie wyraźnie mówiło, jak bardzo jej pożąda. Z wzajemnością. Serce Jaz przyspieszyło rytm. O niczym innym nie marzyła. Kochała go do szaleństwa. Tylko świadomość, że później nic zniesie rozstania, powstrzymywała ją przed spełnieniem wspólnego marzenia. Na samą myśl o wyjeździe Beau ból rozsadzał jej serce. Nie liczyła na to, że go zatrzyma. Zaciekle bronił swej niezależności, unikał osobistego zaangażowania. Odstąpiła krok do tyłu. Ręka Beau opadła bezwładnie.

- Uważam, że to zły pomysł - oświadczyła drżącym głosem wbrew własnym odczuciom. - Natomiast co do zaproszenia Madelaine przyznaję ci rację. Masz znacznie lepsze warunki do przyjmowania gości niż ja.

Beau pokręcił głową ze smutkiem.

- Wstyd mi, że nie zapytałem cię o zdanie. Nie wziąłem pod uwagę twojej przeszłości. Zbyt późno zrozumiałem, że Stara Plebania to ostatnie miejsce, w którym chciałabyś pełnić honory pani domu. Zadzwońię do Madelaine i poinformuję ją, że zmieniliśmy plany.

Jaz była mu wdzięczna za zrozumienie. Równocześnie czuła potrzebę zrewanżowania się przyjaciółce za gościnność. Uznała w końcu, że lepiej pozostać przy dotychczasowych ustaleniach, żeby nie sprawiać jej przykrości.

- Niech tak zostanie. Jakoś przywyknę do tego miejsca. Pójdę już, czeka mnie wiele pracy - dodała z niepewnym uśmiechem.

W rzeczywistości nie groziło jej przeciążenie nadmiarem obowiązków. Potrzebowała spokoju, żeby zebrać myśli. Bystry dziennikarz jak zwykle odgadł jej rozterki bez słów.

- Jeżeli cię to pocieszy, ja również czuję się bardzo zagubiony - próbował dodać jej otuchy.

Niewiele jej to wyznanie pomogło. I bez tego wiedziała, że toczy ciężką wewnętrzną walkę. Przewidywała, że w jego przypadku rozum zwycięży nad uczuciem, przeciwnie niż u niej.

Pożegnała go i wyszła. W drodze do domu pomyślała, że ona i Beau przypominają dwa magnesy, które równocześnie przyciągają się i odpychają. Nie potrafiła powiedzieć, która z sił przeważy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy tylko otworzyła drzwi, ujrzała na dywaniku znajomą białą kopertę. Kolejny anonim zawierał trzykrotnie powtórzone słowo:

Kłameczucha, kłameczucha, KŁAMCZUCHA,

Jaz odniosła wrażenie, że w autorze podczas pisania narastała złość. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kompletnie wyczerpana, usiadła na schodach. Łzy pociekły jej z oczu obfitym, nieprzerwanym strumieniem. Wreszcie wypłakała cały żal. Kiedy ochłonęła, poczuła palącą potrzebę zawierzenia swoich trosk jakiejś bratniej duszy. Wybrała jedyną przyjazną osobę: Madelaine. Niecierpliwie czekała, aż przyjaciółka wróci z salonu piękności. Kiedy uznała, że powinna być już w domu, wyruszyła na spotkanie. Opowiedziała jej całą historię, nie pomijając żadnych szczegółów. Madelaine wysłuchiwała jej z rosnącym zaniepokojeniem, spoglądając raz po raz na ostatni z anonimów, który wręczyła jej Jaz. Krwistoczerwone, świeżo umalowane paznokcie kontrastowały z białą papieru.

- Przypuszczam, że nie rozmawiałaś o tym z Beau?

- Nie. Już wcześniej wspominał, że pobyt na wsi go rozczarował. Rozważał nawet pomysł powrotu do Londynu. Gdyby zobaczył na własne oczy, jak podli bywają nasi ziomkowie, uciekłby stąd natychmiast gdzie pieprz rośnie - wyjaśniła Jaz.

- Nie doceniasz go. Sądzę raczej, że spróbowaliby ci pomóc rozwikłać zagadkę.

Jaz nic podzielała jej optymizmu. Była pewna, że przenikliwy dziennikarz odgadłby bez trudu, że to ich przyjaźń sprowokowała prześladowcę do działania. Mógłby zerwać znajomość, żeby ochronić Jaz przed kolejnymi atakami. Nie zdradziła przyjaciółce swych obaw. Popatrzyła jej tylko błagalnie w oczy.

- Wolałabym nie rozgłaszać tej wstydlivej historii. Przyrzeknij, że nikomu nic powiesz - poprosiła.

- No dobrze. - Madelaine popatrzyła na nią z troską. - Uważam jednak, że powinnaś zameldować o przestępstwie na policji. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Listy przychodzą coraz częściej, są coraz bardziej zjadliwe. Szkoda, że zniszczyłaś poprzednie. Mogłyby ułatwić śledztwo - przekonywała, coraz bardziej zmartwiona.

- Naprawdę wierzysz, że prześladowca zaatakuje bezpośrednio? - spytała Jaz z niedowierzaniem.

Do tej pory nie rozważała takiej ewentualności. Jednak na widok rozszerzonych z przerażenia oczu Madelaine ogarnął ją lęk. Spróbowała przegnać złe przecucia i uspokoić roztrzęsioną przyjaciółkę:

- To tylko słowa. Złe, niesprawiedliwe, ale nic poza tym. Podejrzewam, że jakiś złośliwiec dokucza mi z powodu uczynków mojej matki - zapewniła zdecydowanym tonem.

- A nie z powodu twojego związku z Beau Garrettem? - zasugerowała Madelaine.

- Z całą pewnością nie. Po pierwsze, nie łączy nas nic poza przyjaźnią. Po drugie, Beau nie jest obecnie żonaty ani zaręczony. Komu mogłaby przeszkadzać niewinna znajomość?

- Na przykład Davisom - orzekła po namyśle wdowa. - Margaret Davis jest najbardziej sfrustrowaną starą panną, jaką w życiu spotkałam. Niewykluczone, że przybysz wpadł jej w oko. W dodatku Beau Garrett zwolnił dzisiaj jej brata. I on, i ona mają wszelkie powody, żeby was nienawidzić.

Jaz doskonale pamiętała złośliwe komentarze Dennisa. Nigdy nie ukrywał niechęci do Jaz. Nie szukał jednak określonych dróg. Bez wahania mówił, co mu leżało na sercu. Jego niezamężnej, zgryźliwej siostry również nie posądzała o podstępne knowania. Zdecydowanie pokręciła głową.

- Chyba żadne z nich nic zna nawet podstaw obsługi komputera - powiedziała z powątpiewaniem.

- Ależ Margaret doskonale sobie radzi. Prowadzi bratu dokumentację, sporządza wszystkie faktury. - Podeszła do biurka, wysunęła szufladę, pogrzebała chwilę, wreszcie wyciągnęła złożoną kartkę papieru. Wręczyła ją Jaz.

Rachunek za prace remontowe został wypisany na identycznym papierze jak anonimowe listy, tą samą, standardową czcionką.

- To żaden dowód - stwierdziła Jaz. - W dzisiejszych czasach prawie każdy posiada komputer i umie go obsługiwać.

- Jednak radziłabym ci zameldować o wszystkim na policji - nalegała Madelaine, coraz bardziej zaniepokojona.

- Nie widzę powodu. Weź pod uwagę, że nadawca kierował pod moim adresem zniewagi, a nie groźby. Wolalabym o nich zwyczajnie zapomnieć - dodała.

Żałowała teraz, że zdradziła swój wstydlivy sekret przyjaciółce. Przyrzekła sobie, że sama znajdzie autora obraźliwej korespondencji i powie mu prosto w oczy, co o nim myśli.

Madelaine nie wyglądała na przekonaną. Nadal patrzyła z troską na młodszą przyjaciółkę.

- Obawiam się, że przestępca nie zechce zapomnieć o tobie.

Mimo najlepszych intencji na nowo zasiała niepokój w sercu Jaz.

- Wstawaj, Jaz! Najwyższa pora na poważną rozmowę, o ile już nic jest za późno.

Jaz rozpoznała ukochany, szorstki głos. Jeszcze nie oprzytomniała. Ledwo uchyliła ciężkie powieki. Nadal walczyła z sennością. Z trudem rozpoznała własny kominek. Ze zdumieniem stwierdziła, że zasnęła w fotelu.

- Nie udawaj, że śpisz! - Beau podniósł głos. - Nie wyjdę stad, póki nie uzyskam wyjaśnień.

Jaz nie rozumiała, jakim sposobem znalazł się w jej salonie. Otworzyła oczy. Zastosowała swą zwykłą taktykę obronną - atak:

- Nie znasz przysłowia: „Mój dom jest moją twierdzą”?

- Znam. - Beau posłał jej zgryźliwy uśmiech. - Powinnaś już wiedzieć, że twoje docinki na mnie nie działają. Zapukałem, jak nakazuje dobry obyczaj, odczekałem, ile trzeba, a ponieważ nie usłyszałem odpowiedzi, nacisnąłem klamkę. Nie zaniknęłaś drzwi - wyjaśniał krok po kroku jak małemu dziecku. Uniósł w górę zmięty skrawek papieru. - Co to jest?

Jaz od razu rozpoznała anonimowy list. Sama zgmiotła go w kulkę i rzuciła w kąt godzinę wcześniej, kiedy wróciła od Madelaine. Poczzerwieniała na twarzy. Wzruszyła ramionami.

- Jakiś świstek - mruknęła. - Przyłapałeś mnie na bałaganiarstwie. Powinnam go wrzucić do kominka. Nawet nie pamiętam, co tam jest napisane - usiłowała zbagatelizować sprawę. Wstała i spróbowała wyjąć mu list z ręki.

Beau udaremnił jej wysiłki. Błyskawicznie uniósł rękę wysoko do góry.

- Nic rób ze mnie durnia - wycedził przez zaciśnięte zęby.  
- Zaczynam tracić cierpliwość - posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

Jaz nie potrafiła odgadnąć, w jaki sposób dowiedział się o anonimach. Prócz niej i Madelaine wiedział o nich tylko nadawca. Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

- Rozmawiałeś z Madelaine? - spytała drżącym głosem.

- Nie widziałem jej od czasu jej niezapowiedzianej wizyty w południe. - Posłał jej zdumione spojrzenie spod uniesionych brwi. - O czym miałyby mi powiedzieć?

- O niczym. Specjalnie prosiłam ją, żeby nie rozgłaszała...  
- Urwała.

Zbyt późno uświadomiła sobie, że zabrnęła za daleko. Beau zacisnął wolną rękę w pięść, po czym wsunął ją do kieszeni. Jaz pomyślała, że gdyby tego nie zrobił, chwyciłby ją pewnie za gardło i wydusił zeznania. Nie pozostało jej nic innego, jak powiedzieć przynajmniej część prawdy.

- Od kilku tygodni otrzymuję anonimowe listy. Chyba jakiś złośliwy dzieciak wypisuje głupoty - wykrztusiła.

- Ile ich było? - drążył dalej.

- Kilka. - Na widok groźnie zmarszczonych brwi dodała pospiesznie: - Dokładnie cztery.

- Co zawierały?

- Stek bzdur - mruknęła. - Same przykre rzeczy, zrozumiałe chyba tylko dla nadawcy, jak to zwykle bywa w takich przypadkach - wzruszyła ramionami.

- Tego wieczoru, kiedy podniosłem z dywanika kopertę, usiłowałaś odwrócić moją uwagę - zaczął z drugiej strony. - Podejrzywałaś, co zawiera?

- Tak - przyznała bez dalszych wykrętów.

I tak nadużyła już zaufania Beau. Wiedziała, że nic się nie ukryje przed jego bystrym okiem. Woląca nie ryzykować kolejnego oskarżenia o krętactwo.

Beau popatrzył z chmurną miną na zmięty papier.

- Czemu ktoś nazwał cię kłamczuchą? Sama zadawała sobie to pytanie. Akurat w ustach Beau nabierało ponurego sensu.

- Nie mam pojęcia. Mówiłam ci, że to jakiś bełkot. - Pokręciła bezradnie głową.

- Nie uwierzę, póki nie zobaczę poprzednich listów - powiedział z wymuszoną łagodnością.

Zaciśnięte szczęki i napięte mięśnie twarzy świadczyły o skrajnym zdenerwowaniu.

Jaz westchnęła ciężko.

- Zniszczyłam je i wyrzuciłam - przyznała zawstydzona. - Madelaine uświadomiła mi dzisiaj, że postąpiłam bardzo nierozsądnie. - Wstała gwałtownie. Przeszkadzało jej, że Beau patrzy na nią z góry spod zmarszczonych brwi jak surowy sędzia.

Niewiele zyskała. Nie zmniejszyła dystansu, Beau bowiem natychmiast usiadł. Teraz stała przed nim jak niegrzeczna uczennica przed dyrektorem szkoły.

- Dobrze, że przynajmniej z nią porozmawiałaś. Jedyne rozsądne decyzja od paru tygodni. Na co wcześniej liczyłaś? Że prześladowcy znudzi się ta zabawa? Że z własnej woli zaprzestanie ataków? - Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że prześladowca w końcu uzna, że nic sobie nie robię z jego oszczerstw, i da mi spokój - przyznała.

- O święta naiwności! Zrozum, że człowiek, który dręczy innych, czerpie radość z ich cierpienia. Z przyjemnością obserwuje, jak ofiara drży ze strachu, zamyka się w sobie i patrzy podejrzliwie na wszystkich dokoła. Prowadziłem kiedyś program na ten temat - wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie. - Wiele rozmawiałem z odbiorcami anonimów, dotarłem nawet do nadawców. Przypuszczam, że twoje milczenie nic zniechęciło przeciwnika do działania?

- To prawda.

- Podejrzewam też, że strumień anonimowych listów nieprędko wyschnie.

Jaz przyznawała mu w duchu rację. Była pewna, że wróg nie zostawi jej w spokoju, póki Beau nie wyjedzie z Aberton.

- Mimo wszystko nie zamierzam wybiec na ulicę i krzyczeć, że mnie prześladują - odparła z gorzką ironią.

- Jak myślisz, co sprowokowało tego człowieka? - padło decydujące pytanie.



Ponieważ Jaz nie odpowiedziała, Beau zadał następne:

- Kiedy otrzymałaś pierwszy anonim? No, kiedy? - powtórzył, widząc jej wahanie.

- W dniu, kiedy rozpoczęłam pracę w ogrodzie przy Starej Plebanii, jeżeli już musisz wiedzieć - odpowiedziała z ociąganiem.

- Muszę - zapewnił szorstkim tonem. - Doskonale pamiętam twoje spłoszone spojrzenie i pobladłą twarz. Wyjaśniłaś wtedy, że zbladłaś na widok rachunku za prąd.

- Rzeczywiście go otrzymałam. Tamten list, bez znaczka i stempla, leżał wraz z resztą poczty na podłodze - dodała, uprzedzając następne pytanie.

- Z tego wniosek, że ktoś, kto go podrzucił, wiedział, że przebywasz poza domem - wymamrotał pod nosem, bardziej do siebie niż do niej.

- Chyba tak - potwierdziła. Już wcześniej doszła do podobnego wniosku, co nie wskazywało na nikogo konkretnego i ani o krok nie przybliżyło jej do rozwiązania upiornej łamigłówki.

- Co tam było napisane? - kontynuował śledztwo, nie zważając na zmęczenie Jaz.

- „Jaka matka, taka córka” - westchnęła ciężko.

- Pamiętam, że twoja mama opuściła ojca, kiedy miałaś siedemnaście lat. Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

- Uciekła z cudzym mężem, właśnie jako pierwsza i jak do tej pory jedyna tutaj. W Aberton wybuchł wielki skandal. - Jaz odwróciła wzrok. Gdyby ujrzała odrazę w jego oczach, pękłoby jej serce.

- Takie rzeczy też się zdarzają. Ale ty nie ponosisz odpowiedzialności za jej postępowanie. Nie widzę też żadnej analogii w twoim życiu osobistym. Widywano nas wprawdzie razem, ale przecież nie jestem żonaty. Komu mogła

przeszkadzać naszej przyjaźni? - Wbił w nią pytające spojrzenie.

- Naprawdę nie mam pojęcia! - krzyknęła, bliska płaczu.

- Przykro mi, że cię meczę, ale jeżeli chcemy rozwiązać zagadkę, musimy przez to przejść. Wytrzymaj jeszcze trochę - nalegał. - Czy wcześniej, kiedy byłaś związana z kimś innym, spotkało cię coś podobnego?

- Nie byłam z nikim „związana”, jak to określasz. Z tobą też nie - odburknęła rozdrażniona.

- Ten ktoś w to nie wierzy. Ciekawe... - Pokiwał głową.

- Ja nie widzę w tym koszmarze nic interesującego. Dla mnie to bolesne, upokarzające, wstrętne! - wykrzyczała. - Dajmy już z tym spokój. Powiedz lepiej, po co naprawdę przyszedłeś? - spytała.

Nie przypominała sobie, żeby w południe zapowiadał następną wizytę. O anonimowych listach dowiedział się przypadkowo dopiero u niej w domu, kiedy znalazł zmiętą kartkę. A więc sprowadziło go coś innego.

Beau długo milczał. Stał przy kominku i niemalże w nieskończoność patrzył w ogień. Jego blask oświetlał bliznę na policzku. Jaz powtórzyła pytanie. W napięciu czekała na odpowiedź, Beau włożył ręce do kieszeni, wziął głęboki oddech, wreszcie powoli odwrócił ku niej twarz.

- Przyszedłem cię poinformować, że w najbliższą sobotę opuszczam Aberton.

Jaz zaniemówiła. Pobladła. Patrzyła na Beau rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Jej najgorsze przeczucia sprawdziły się znacznie szybciej, niż przypuszczała.

- Dopiero kupiłeś dom - wyjąkała.

- Co z tego? Mogłabyś w nim mieszkać?

- Ja nie - zaczęła. - Ale...

- Ja też nie. Sprzedam go. Nic dla mnie nie znaczy.

Jaz nie potrafiła odgadnąć, co w tej chwili ma dla niego znaczenie. W każdym razie nie ona.

- Chciałbym, żebyś wyjechała razem ze mną.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jaz trwała w niemym odrętwieniu jeszcze przez długi, długi czas. Nawet nie pamiętała, w jaki sposób Beau przeszedł od śledztwa w sprawie anonimowych listów do propozycji wspólnego wyjazdu. Kiedy wreszcie ochłonęła, wyszeptała prawie bezgłośnie wyschniętymi wargami tylko jedno, jedyne słowo:

- Dlaczego?

- To chyba oczywiste - odparł, nie ukrywając zniecierpliwienia.

- Dla mnie nie. - Energicznie potrząsnęła głową. Czarne włosy zawirowały wokół twarzy niczym welon z połyskliwego jedwabiu.

- Zawsze odpowiadasz w tym stylu na oświadczyzny?

Sens ostatniej wypowiedzi dotarł do Jaz ze znacznym opóźnieniem. Powinna paść mu w ramiona i wykrzyknąć w radosnym uniesieniu: „Tak! Tak! Tak!“. I pewnie by to uczyniła, gdyby Beau poprosił ją o rękę z miłości. Szczerze w to wątpiła. Nie wyglądał na zakochanego. Wolała poznać jego motywy, zanim podejmie decyzję. Wzięła głęboki oddech.

- Nikt wcześniej nie proponował mi małżeństwa - wyznała. - Brak mi doświadczenia w takich sprawach. Dlaczego chcesz, żebym za ciebie wyszła?

- Też pytanie! - prychnął, najwyraźniej urażony. - Nie pasujesz do środowiska wiejskiego tak samo jak ja. Interesy idą fatalnie. Atmosfera w Aberton ci nie służy. Pomyślałem, że zechcesz rozpocząć gdzie indziej nowe, lepsze życie.

- Z człowiekiem, który proponuje mi małżeństwo jako wyjście awaryjne z beznadziejnej sytuacji? - wpadła mu w słowo. Gwałtownie wstała z miejsca. - Przenigdy! Nie potrzebuję litości. Idź już i nie obrażaj mnie więcej! - wykrzyzczała oburzona. Beau jednym zdaniem otworzył dla niej bramy raju, a następnym stracił ją na dno piekieł.

Beau zeszywniał. Przesunął dłonią wzdłuż blizny na policzku.

- Nie przypuszczałem, że potraktujesz moją propozycję jak zniewagę - powiedział z gorzką ironią. Ruszył w kierunku drzwi. Przystanął jeszcze z ręką na klamce. - Gdybyś do soboty zmieniła zdanie, daj mi znać.

- Wykluczone - odrzekła Jaz bezbarwnym głosem. Z trudem wytrzymała jego spojrzenie. - Idź już. Przed wyjazdem zwrócę ci zaliczkę - dodała.

- Nie zależy mi na pieniądzach.

- Mnie też.

- Zrobisz, jak uznasz za słuszne, mnie to już obojętne - mruknął na odchodnym.

Ledwie wyszedł, Jaz opadła z płaczem na fotel. Ból rozsadał jej serce. Beau potwierdził jej najgorsze podejrzenia. Nie obchodziło go, jaką decyzję podejmie, ponieważ wcale mu na niej nie zależało. Nie widział w niej życiowej partnerki. Zaproponował jej małżeństwo tylko z litości. Łzy płynęły z oczu Jaz nieprzerwanym strumieniem.

Jaz poszła odwiedzić Madelaine. Przyjaciółka na powitanie oznajmiła, że wypiją herbatę w towarzystwie jeszcze jednego gościa. Gospośia wprowadziła ją do przytulnego salonu. Na widok Beau Garretta Jaz przystanąła w drzwiach, niezdecydowana. Spotkał ją zawód. Liczyła na rozmowę w cztery oczy. Beau wstał i pozdrowił ją uprzejmie. Wyglądał wspaniale w niebieskiej koszuli, o ton ciemniejszym kaszmirowym swetrze i ciemnych spodniach. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Jaz nie potrafiła odgadnąć, czy zdziwiła go jej wizyta. Ona sama przeżyła wstrząs, widząc go w tym miejscu. Nie spotkała go od dnia, w którym odrzuciła oświadczenia. Powtarzała sobie w kółko, że podjęła słuszną decyzję, ale nie zaznała ukojenia. Wiedziała, że dopiero czas, długi czas po jego zniknięciu, uleczy rany. Madelaine

wskazała jej miejsce na sofie. Jaz stała bez ruchu na środku pokoju, niepewna, czy powinna zostać czy wyjść pod jakimkolwiek pretekstem.

- Jeżeli nie usiądziesz, mnie również nic wypada - zwrócił jej uwagę Beau.

Jaz z urażoną miną usadowiła się w rogu kanapy jak najdalej od niego.

- Poróżniliście się! - zachichotała Madelaine. - Już wszyscy we wsi o tym mówią.

- Mam po dziurki w nosie plotkarzy! - mruknął Beau. - Niech lepiej pilnują własnych spraw.

- Kiedy cudze są o wiele ciekawsze - zaszczebiotała Madelaine z szelmowskim uśmiechem.

Jaz posłała mu wyzywające spojrzenie.

- Czy to znaczy, że jutro opuszczasz Aberton z powodu ludzkiego gadania? - zadrwiła.

Madelaine pobladła. Zaniemówiła z wrażenia. Oddychała szybko, jej pierś falowała.

- Wyjeżdżasz? Na zawsze? - dopytywała natarczywie, gdy już odzyskała głos. - Dlaczego mi nie powiedziałeś? - dodała oskarżycielskim tonem.

- Jeszcze nie podałem moich planów do publicznej wiadomości - wycedził przez zęby. Posepne spojrzenie powiedziało Jaz, co myśli o rozgadywaniu cudzych tajemnic.

- A jednak Jaz wiedziała! - krzyknęła urażona Madelaine.

- To co innego. - Wzruszył ramionami. - Ona jedzie razem ze mną.

Jaz nie rozumiała, do czego zmierza. Nie zmieniła decyzji, nie zamierzała do niego dołączyć, zresztą nawet nie zapytał jej powtórnie o zdanie. Madelaine gwałtownie powstała z miejsca. Zmierzyła ją z góry oskarżycielskim spojrzeniem.

- Co za fałsz! Nie pisnęłaś ani słowem. - Mówiła z przerwami, z trudem łapiąc oddech, jakby nagle zabrakło jej powietrza. - Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś?

- Wy tłumacz, proszę, o co ci chodzi - wtrącił Beau łagodnym tonem.

Jaz gestem usiłowała zmusić go do milczenia. Nie zareagował. Wbił wzrok w starszą z kobiet i ponownie zażądał wyjaśnienia. Madelaine zacisnęła pięści. Piękną twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas. Oczy rzucały błyskawice.

- Jakaś ty podobna do matki, Jaz! - krzyknęła. - Nie tylko z urody, z charakteru również! Janie była równie piękna, nieokiełznana i dzika. Zanim Charles mnie dla niej porzucił, porównał nas do ognia i lodu! - wykrzyzczała całe nagromadzone przez lata rozgoryczenie.

Jaz zeszywniała z przerażenia. Odczuwała równocześnie wstręt, rozczarowanie i współczucie. Od dnia, kiedy Beau przybliżył jej sposób myślenia nadawców anonimowej korespondencji, gorączkowo poszukiwała człowieka, który mógłby odpowiadać opisowi. Przeanalizowała charaktery, przeszłość i obyczaje wszystkich mieszkańców Aberton. Eliminowała kolejne osoby, aż została tylko jedna - ta, którą mąż porzucił dla jej matki. Ta, której bezgranicznie ufała, którą nazywała najlepszą przyjaciółką! Miała do Madelaine wielki żal. Równocześnie wyobrażała sobie, jakie męki cierpiała przez te wszystkie lata, skrywając przed światem zapiekłą nienawiść. Dostrzegła w oczach Beau lustrzane odbicie własnych uczuć. Nagle pojęła, że prawda nie wyszła na jaw przypadkiem. Identyczne podejrzenia sprowadziły ich w tym samym czasie w jedno miejsce. Beau wstał. Stał pomiędzy dwoma kobietami z twarzą zwróconą ku gospodyni.

- Czemu prześladowałaś Jaz? - zapytał oskarżycielskim tonem. - Nie wyrządziła ci przecież żadnej krzywdy.

- Jej matka ukradła mi męża! Gdyby nie zginął w wypadku wraz z podłą Janie, zrozumiałby w końcu, dla jakiej nędznej kreatury mnie zostawił! To przez nią straciłam go bezpowrotnie - oświadczyła z wysoko uniesioną głową.

Jaz o mało nie zemdlą. Do wczoraj uważała Madelaine za jedyną bratnią duszę. Zbliżyło je wspólne nieszczęście, co uważała za zupełnie naturalne. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że gościnna, serdeczna Madelaine hoduje w sercu tak wielką urazę. Głowę by dała, że rozumie ją i jej współczuje. Obydwie cierpiały wskutek porzucenia przez najbliższe sercu osoby.

Dopiero teraz rozumiała, że wdowa przeniosła na nią całe rozgoryczenie po ucieczce kochanków. Ponieważ ci, którzy ją skrzywdzili, przedwcześnie stracili życie, dokonała zemsty na córce winowajczyni. Jaz długo nie przyjmowała do wiadomości jedyne go logicznego rozwiązania ponurej łamigłówni. Naprowadziła ją na nie treść ostatniego z anonimów. Przywołała na pamięć ostatnie i dawniejsze spotkania z mieszkańcami Aberton. Nie dała nikomu podstaw do oskarżeń o kłamstwo. Tylko wobec jednej osoby zataiła prawdę: ukrywała przed Madelaine swą miłość do Beau, ponieważ nie liczyła na wzajemność. Z nikim innym nie rozmawiała o sprawach osobistych. Nikt inny nie wypytywał też o ich wzajemne relacje. Kiedy Madelaine wykryła, że Jaz tylko udaje obojętność, oszalała z zazdrości. Mimo oczywistych poszlak Jaz do końca nie chciała uwierzyć w jej winę. Odwiedziła Madelaine w nadziei, że jej przypuszczenia okażą się fałszywe. Nigdy by jej przez myśl nie przeszło, że w tak okrutny sposób zawiedzie jej zaufanie. Ponad wszystko pragnęła oczyścić przyjaciółkę z zarzutów.

- Jaz nie ponosi żadnej odpowiedzialności za uczynki matki - usiłował tłumaczyć Beau możliwie spokojnym



głosem. - Wraz z ojcem przeszła przez takie samo piekło jak ty.

- Zasłużyli na cierpienie! - wrzasnęła Madelaine. - Gdyby John Logan lepiej pilnował żony, ja do dziś miałabym męża! Przez jego nieudolność zostałam sama, nieszczęśliwa, pod ostrzałem drwiących spojrzeń sąsiadów. Charles sporo mi zostawił, ale przez lata majątek zdążył już stopnieć... - Pomyślałaś sobie, że dobrze by było, gdyby nowy, zamożny mąż podreperował twój budżet - podpowiedział Beau.

- Właśnie - potwierdziła bez zastanowienia.

- Tymczasem zamiast ułożyć sobie życie na nowo, musiałam patrzeć, jak córka wrednej Janie sprząta mi sprzed nosa jedyne odpowiedniego kandydata.

Jaz o mało nie zemdląła. Już samo odkrycie skrywanej przez lata nienawiści Madelaine podkopało jej wiarę w ludzi. Świadomość, że jej przyjazd z Beau sprowokowała szaloną kobietę do bezpośredniego ataku, załamała ją do reszty. Zaniemówiła ze zgrozy. Beau na szczęście zachował zimną krew.

- Przykro mi, ale nawet gdybym nie poznał Jaz, pozostałbym poza twoim zasięgiem. Nie jesteś w moim typie.

- Nie wierzę. Mówisz tak tylko dlatego, że ona nas słucha! - wykrzyknęła urażona kobieta, nerwowo potrząsając głową.

- Nie, Madelaine - zaprzeczył bezbarwnym głosem. - To prawda.

Madelaine gwałtownym ruchem wyrzuciła do przodu obydwie ręce z rozczapierzonymi palcami. Gdyby Beau błyskawicznie nie chwycił jej za nadgarstki, krwistoczerwone szpony rozorałyby mu twarz. Odsunął ją mocno na odległość ramienia z grymasem obrzydzenia na twarzy.

- Pewnie rozpiera was duma, że mnie przechytrzyliście?! - wrzeszczała histerycznie Madelaine.

- Piękna, zawsze uśmiechnięta buzia przypominała teraz wykrzywioną maskę z filmów grozy.

- Może rzeczywiście jesteście siebie warci! - dodała zboląłym głosem. Nagle cała złość gdzieś wyparowała. Błękitne oczy nie wyrażały teraz nic prócz bezbrzeżnego bólu. Popłynęły z nich łzy.

Jaz spróbowała wstać. Beau ruchem głowy nakazał jej pozostanie na miejscu. Przez cały czas mocno przytrzymał Madelaine.

- Skoro nie przyjmujesz do wiadomości, że Jaz jest taką samą niewinną ofiarą jak ty, nie pozostaje mi nic innego, jak zaproponować, żebyś skorzystała z pomocy specjalisty - oświadczył schrypniętym ze wzburzenia głosem. - Jeżeli zechcesz, skontaktuję cię ze znajomym psychiatrą.

Jaz popatrzyła na Beau z uznaniem. Wybawił ją z kłopotu. Sama wiele wycierpiała, ale przerażała ją myśl, że mogłaby zostawić chorą bez pomocy. Uważała tak samo jak on, że nie dojdzie do równowagi psychicznej o własnych siłach. Nie знаła jednak nikogo, kto mógłby udzielić jej wsparcia. Kompletnie zdruzgotana Madelaine po raz pierwszy w życiu wyglądała na swoje czterdzieści pięć lat. Jaz patrzyła na nią z coraz większym przerażeniem.

- Policję też zawiadomicie? - spytała zrezygnowana Madelaine.

Beau stanowczo zaprzeczył w swoim imieniu. Posiał Jaz pytające spojrzenie.

- Nie bój się ja też tego nie zrobię - próbowała ją uspokoić. - Przykro mi, że moja mama cię skrzywdziła. I że na mnie przeniosłaś całe rozgoryczenie. - Zamilkła.

Pokręciła bezradnie głową. Marzyła tylko o tym, żeby uciec z tego domu jak najprędzej i w samotności leczyć własne rany.

Beau puścił ręce Madelaine. Opadła bezwładnie na fotel.

- Mam zadzwonić do lekarza? - zapytał.

- Tak, oczywiście. Wybacz mi, Jaz. - Popatrzyła na młodą kobietę nieprzytomnym wzrokiem. Później gwałtownie potrząsnęła głową, jakby próbowała przebudzić się z nocnego koszmaru.

Beau pospiesznie pożegnał Madelaine. Ujął Jaz pod ramię i pociągnął ku wyjściu. Drżała na całym ciele, bliska omdlenia. Gdyby jej nie prowadził, nie doszłaby o własnych siłach do samochodu.

Beau odwiózł Jaz do domu. Usadził ją w fotelu. Sam zaparzył dla obojga mocną herbatę. Wrócił do pokoju. Zajął miejsce naprzeciwko kompletnie wyczerpanej Jaz. Dopiero gdy nieco ochłonęła, zapytała, w jaki sposób wpadł na właściwy trop.

- Przez przypadek, jak to zwykle bywa - odrzekł. - Dzisiaj rano poszedłem po zakupy. Barbara Scott oczywiście nie omieszkała wyciągnąć mnie na pogawędkę. Wychwalała pod niebiosa waszą przyjaźń. Przy okazji nadmieniła, że złączyło was wspólne nieszczęście. Szkoda, że dopiero od niej dowiedziałem się, że twoja mama uciekła z mężem Madelaine. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Gdybyś nie pominęła najważniejszego szczegółu całej historii, oszczędziłabyś mi trudu, a sobie wielu bolesnych przeżyć.

- Uważałam, że nie musisz wiedzieć takich rzeczy - mruknęła zawstydzona Jaz. Czują, że płoną jej policzki.

- Jestem pewien, że sprowadziło cię do jej domu to samo podejrzenie, co mnie.

- Tak, ale wciąż nie mogłam uwierzyć, że to Madelaine mnie dręczyła. Odwiedziłam ją, ponieważ pragnęłam znaleźć dowody jej niewinności - wyznała z zażenowaniem.

- Czasami tracę do ciebie cierpliwość! - krzyknął Beau. Wstał gwałtownie z miejsca. - Nawet nie pomyślałaś, na co się narażasz! Trudno przewidzieć, jak postąpi niezrównoważony,

opętany nienawiścią człowiek. No i jak ja mam cię tu samą zostawić? Choćbym uciekł na koniec świata, niepokój o ciebie będzie mi stale towarzyszył.

- Nie widzę powodu do obaw - zaprotestowała słabo Jaz. - Madelaine wyraziła przecież zgodę na leczenie. Nie sądzisz chyba, że po twoim wyjeździe zmieni zdanie? - popatrzyła na niego niepewnie.

- Nie dopuszczę do tego! - zapewnił z całą mocą. - Ale mniejsza o nią. Prócz tego, że przeze mnie stałaś się obiektem ataków szalonej kobiety, wprowadziłem w twoje życie sporo zamieszania. Czuję się za ciebie odpowiedzialny. Wizyty w Starej Plebanii przypomniały ci smutne dzieciństwo. Ludzie znów wzięli cię na języki. Wreszcie moja dachówka o mały włos nie roztrzaskała ci głowy - wyliczał, coraz bardziej sfrustrowany.

Jaz wysłuchiwała całego przemówienia z rosnącym niedowierzaniem. Beau nie ponosił żadnej odpowiedzialności ani za surowe metody wychowawcze dziadków, ani za zdradę jej matki czy śmierć ojca, ani też za niedbalstwo Dennisa. A jednak obchodził go jej los. Taka troska poruszyła ją do głębi. Czowała, jak jej zziębnięte, obolałe serce powoli topnieje. Rozbłysnął w nim płomyk nadziei. Nie śmiała go rozniecić. Nie mogła jednak przegapić jedynej w życiu, ostatniej szansy. Spróbowała delikatnie wy badać intencje ukochanego mężczyzny:

- Dlaczego zaproponowałeś mi małżeństwo?

- To chyba oczywiste - powtórzył wymijającą odpowiedź sprzed paru dni.

- Już mówiłam, że nie.

- Co by cię przekonało? Bukiety róż, pierścionek, przemówienia na klęczkach?

- Tak, odrobina romantyzmu by nie zaszkodziła - potwierdziła z ciepłym uśmiechem. - Gdybym usłyszała kilka miłych słów, uwierzyłabym w nie bez zastrzeżeń,

- Nawet gdyby nie były prawdziwe? - spytał z niewesołym uśmiechem.

Jaz wyczuła wahanie w jego głosie. A przede wszystkim lęk. Doszła do wniosku, że rzeczowy ton poprzednich oświadczeń stanowił rodzaj taktyki obronnej. Postanowiła to sprawdzić za wszelką cenę. Następnego dnia wyjeżdżał. Nie miała już nic do stracenia prócz godności. Doskonale wiedziała, że jeśli się myli, przyjdzie jej długo leczyć złamane serce, niemniej jednak podjęła ryzyko. Zebrała całą odwagę. Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Te, które ja powiem, to szczerą prawdą: kocham cię, Beuregardzie Garrett - oświadczyła poważnie.

- Ty? Niemożliwe! - Pokręcił głową z niedowierzaniem. Z trudem chwycił powietrze. - Przed chwilą nazwałaś moje oświadczenia zniewagą. Och, nie! - wykrzyknął, jakby nagle doznał olśnienia.

- Nie miłość odrzucałaś, lecz współczucie. Obydwoje popełniliśmy wielki błąd. Uwierz mi, nigdy się nad tobą nie litowałem. Pragnąłem zadbać o ciebie, ponieważ cię kocham, kocham nad życie.

- Dlaczego tego wcześniej nie powiedziałaś?

- Spytała ze łzami szczęścia w oczach. - Dlaczego?

- Dlatego - zwrócił ku niej naznaczony blizną policzek. Przeciągnął po niej palcami od góry do dołu. - Myślałem, że czujesz do mnie wstręt, ponieważ jestem brzydki i za stary dla ciebie. - Zamilkł. Przez dłuższy czas kręcił głową z niedowierzaniem. - Jaz, czy ty naprawdę powiedziałaś, że mnie kochasz?

- Tak. Tylko ciebie jednego - wyszeptała w uniesieniu. - Pragnę zostać z tobą na zawsze. Moim zdaniem ta głupia

blizna cię wcale nic szpeci. Gardzę producentami z telewizji za to, że wyrzucili cię z tak błahego powodu - zapewniła z pełnym przekonaniem.

- Nie zostałem zwolniony - zaprzeczył. - Sam odmówiłem przedłużenia kontraktu. Ale nie pora o tym dyskutować. Teraz pragnę ponad wszystko pocałować narzeczoną. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później. - Pochylił ku niej głowę. Szczery, radosny uśmiech nadał mu niemalże chłopięcy wygląd.

- Twoja propozycja brzmi bardzo, bardzo obiecująco - odrzekła bezgranicznie szczęśliwa, Jaz. Wtuliła się w niego.

- Tylko że... - szepnął z wahaniem. Jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Jaz.

Zamarła w bezruchu. Czekwała na kolejne zastrzeżenia jak na wyrok. Drżała z niepokoju, że wymarzony mężczyzna następnym zdaniem ugasi płomień nadziei, który rozniecił.

- Jeszcze nie poprosiłem cię o rękę we właściwy sposób - dokończył z figlarnym błyskiem w oku. Nagle spoważniał. Nabrał powietrza w płuca. - Kocham cię do szaleństwa, Jaz. Pragnę spędzić z tobą resztę życia, dbać o ciebie i prosić, żebyś i ty się o mnie zatroszczyła. Czy wyjdiesz za mnie'.

- Tak - wyszeptała w ekstazie.

Znacznie później, gdy już leżeli na sofie, spleceni ze sobą, nasyceni miłością, Beau poprosił, żeby opowiedziała o mamie. Teraz, kiedy należeli do siebie bez reszty, uczyniła to bez żadnych oporów. Wszelkie zahamowania znikły bez śladu. Ufała narzeczonemu bezgranicznie.

- Dziadkowie twierdzili, że mama od najmłodszych lat sprawiała kłopoty wychowawcze. Nie znosiła poważnej, posępnej atmosfery plebanii. Kiedy skończyła siedemnaście lat, John Logan przyjechał do Aberton, żeby założyć tu gospodarstwo ogrodnicze. Po trzech miesiącach znajomości zaszła z nim w ciążę. Miesiąc później wzięli ślub.

Przypuszczam, że w małżeństwie dostrzegła szansę ucieczki spod kurateli surowych rodziców. Jeszcze przed moim urodzeniem stwierdziła, że zamieniła stare więzienie na nowe. Za późno. Przeżyła z ojcem dalszych siedemnaście lat, ale szczęścia nie zaznała.

- A jednak wytrwała przy niekochanym mężu aż do okresu dorastania jedynej córki – zauważył Beau. Zmarszczył brwi, jakby rozważał istotną kwestię. - Uprzedziła cię o swoich zamiarach, czy też wyjechała bez pożegnania?

- Pewnego dnia znikła bez śladu. No, niezupełnie. Zostawiła mi list z przeprosinami. Zapewniała, że kiedy osiądą gdzieś na stałe z Charlesem, przyśle po mnie. Lecz zanim odnaleźli własne miejsce na ziemi, zginęli w wypadku - zakończyła z ciężkim westchnieniem.

Beau patrzył z czułością na piękną, smutną buzię narzeczonej.

- Z twojej opowieści wynika, że mama bardzo cię kochała. Jeżeli była choć trochę podobna do ciebie, z pewnością rozkochała w sobie Johna do szaleństwa.

- To prawda - przyznała Jaz.

Oskarżenia Madelaine właśnie dlatego tak bardzo ją zaboląły, że przypominała matkę zarówno pod względem urody, jak i buntowniczego usposobienia.

- Wyobrażam sobie, jakie męki cierpiał twój tata, gdy uświadomił sobie, że Janie go nie kochała, że potraktowała go jak koło ratunkowe - powiedział ze smutkiem. Wyciągnął rękę i pieszczotliwym gestem przesunął palcem po miękkich wargach Jaz.

Oplotła jego szyję ramionami, tuliła go do piersi jak zmartwione dziecko.

- Ja w odróżnieniu od mamy poślubię cię z wielkiej, bezgranicznej miłości. Kocham cię całym sercem i pragnę zostać z tobą do końca moich dni - zapewniła uroczyście.

- Czy zechcesz wyjechać ze mną do Londynu? Tydzień temu omówiłem z wytwórną projekt nowego kontraktu. W ciągu długich tygodni, które spędziłem w szpitalu, zrobiłem rachunek sumienia. Przeprowadzanie wywiadów z gwiazdami przestało mi dawać satysfakcję. Chciałbym wznowić cykl reportaży, dotyczących spraw kryminalnych. Mimo że zapragnąłem odmiany, uczucie do ciebie traktowałem z początku jako wyjątkowo trudne i zgoła niepożądane wyzwanie - wyznał na koniec z rozbrajającą szczerością.

- Biedny Beau - westchnęła Jaz. Uśmiech zgasł na jej ustach.

- Nie zasługuję na współczucie - powtórzył jej ulubione zdanie z figlarnym uśmiechem. - Naprawdę dopisało mi szczęście. Proponują mi sześciomiesięczny kontrakt. Otrzymałem też gwarancję całkowitej swobody działania bez żadnych ograniczeń, jeśli go podpiszę. Ale wszystko zależy od ciebie. Jeżeli nie zechcesz wyjechać, zrezygnuję z tej propozycji i zostanę z tobą.

- Wykluczone! - zaprotestowała Jaz, zdumiona i zachwycona, że stawia jej potrzeby na pierwszym miejscu. - Gdzie ty, tam ja. Wszystko mi jedno, gdzie zamieszkać, byle tylko razem z tobą. Nawiasem mówiąc, już sprzedałam dom farmerowi z sąsiedztwa. Muszę się wyprowadzić w ciągu miesiąca.

- Jak to już? Niby kiedy? - Beau wbił w nią zdumione spojrzenie. - Przecież dopiero dzisiaj przyjechałaś oświadczyć! Czyżbyś zamierzała stąd sama wyjechać bez konsultacji ze mną? I dokąd?

- dopytywał natarczywie.

- Kiedy podejmowałam tę decyzję, nic wiedziałam jeszcze, że ci na mnie zależy - wyznała.

- Na samym początku znajomości rozbudziłeś we mnie potrzebę odmiany. Sąsiad zaproponował mi większą sumę, niż



oczekiwałam. Postanowiłam więc najpierw zobaczyć kawałek świata, a potem poszukać własnego miejsca na ziemi gdzieś we Francji czy Hiszpanii. Tam również potrzebują ogrodników.

- Nigdzie beze mnie nie pojedziesz. Chociaż nie widzę przeszkód, żebyśmy razem wyruszyli gdzieś po wielką przygodę.

- A kontrakt?

- Poczekaj. Dla mnie liczy się tylko twoje szczęście. Jeżeli marzysz o zagranicznych podróżach, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym ci towarzyszył.

W rzeczywistości obce kraje wcale nie interesowały Jaz. Nie pragnęła niczego prócz miłości umiłowanego mężczyzny. Zaplanowała wycieczkę jako lekarstwo na złamane serce jeszcze wtedy, gdy nie liczyła, że Beau ją pokocha. Teraz świat przestał dla niej istnieć. Pragnęła tylko oglądać ukochanego przez resztę życia.

- Wobec tego jedziemy do Londynu. Tam też jeszcze nie byłam - zdecydowała. Zebrała całą odwagę, żeby wyrazić jeszcze jedno, najskrytsze marzenie. - Może z czasem pomyślimy również o dziecku?

- O Mary czy o Marku? - przypomniał z figlarnym uśmiechem.

- Kwestię imienia jeszcze przemyślę - roześmiała się.

- Zostawiam ci wolność wyboru pod warunkiem, że nie zmienisz zdania na mój temat.

- Przenigdy - zapewniła żarliwie.